

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 8 MARCA 1930 ROKU

NR. 10

TREŚĆ NUMERU: Kobieta i polityka — *Janina Strzelecka*. Poezje: „Przyjaźń moja“, „Terre à terre“, „Nie chce“ — *Zofja Rościszewska*. Na forum wielkich potęg — *N. J. Zawalidroga* (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Inne dusze — *M. H. Szpyrkówna*. Powódź plastyki — *l. j. Z teatrów* — *S. P. O. Ś. p.* *Janina Żyrkiewiczowa* (Hanna Krzemieniecka). Kobieta w świecie i w domu. Prawo kobiety do snu — *W. Borudzka*. Przedwiośniane refleksje — *M. Dobrowolska*. Uprawa warzyw korzeniowych (c. d.) — *Zofja Wróblewska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta* Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Praktyczna suknia — *Well*. Dodatek „Kultura ciała“. Dodatek powieściowy: „Jak kochano przed stu laty“ — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów.

## KOBIETA I POLITYKA

W okresie niewoli stosunek kobiety polskiej do zadań politycznych był pozytywny i aktywny. Brała ona udział w walce o duszę narodu przez pracę oświatową i społeczną, była uczestniczką walk o niepodległość, a jak dalece rozumem swoim politycznym i zrozumieniem ważności sytuacji przewyższała niekiedy mężczyznę, świadczy o tem chociażby zdanie Mickiewicza, który o Klaudynie Potockiej i o jej podobnych mówi, że kobiety rozumem, umiłowaniem sprawy, zrozumieniem ważności sytuacji niejednokrotnie przewyższają mężczyzn.

Nie będę przytaczać całego szeregu nazwisk tych kobiet, które od niepamiętnych czasów narówni z mężczyzną walczyły o przeprowadzenie, uzyskanie i obronę tego, co stanowi istotę bytu i trwania narodu. Wystarczy chyba przypomnieć nasze kresowe niewiasty, wystarczy przypomnieć wszystkie ciężkie, czy przełomowe chwile, w których kobieta o wiele gorliwiej, niż mężczyzna, wypełniała swą służbę obywatelską.

Może kiedyś historia tę dziejową rolę kobiety polskiej uplastyczni w całym jej ogromie i znaczeniu, może spadnie wreszcie katarakta z oczu wielu, co chcieliby zacieśnić pole działalności kobiecej tylko do kręgu domowego ogniska, nie widząc, jak żywym, jasnym płomieniem gorzały ogniska oświaty, kultury, sztuki, jak paliły się ogniem patriotyzmu serca, gdy kobieta w tych sprawach brała udział.

Ona właśnie, ta mądra, dzielna, nieprzeciętna kobieta rozumiała doskonale i przeróżne zawile zagadnienia życia politycznego, na którego rozwój nie miała bezpośredniego wpływu. Rozumiała również doskonale, że polityka—to całość życia państwowego, w prze-

ciwstawieniu do istniejącego stanu rzeczy, stworzonego przez mężczyznę, twórcy politykierstwa, rozwydrzonego partyjniactwa, warcholstwa, którego straszliwymi objawami były konfederacje, rokosze, wojny domowe, wolne elekcje i liberum veto w Polsce szlacheckiej, a którego to rozpasania partyjnego ciągiem dalszym jest owa osławiona „polityka“ dzisiejszych Jowiszów partyjnych na terenie wielu instytucyj, czasem najdrobniejszej nawet placówki.

Straszliwe zabagnienie tyłu dziedzin życia społecznego, gospodarczego, państwowego owem partyjniactwem stało się duszącą zmorą polskiej rzeczywistości i tutaj należałoby szukać poczęści przyczyn, dla których bardzo wartościowe nieraz jednostki, zarówno wśród mężczyzn, jak kobiet, odsuwają się jak najdalej od owej zniechęcającej „polityki“, powtarzając z satysfakcją, że się nią nie zajmują, albo zgoła nie interesują.

Cóż więc dziwnego, że świat kobiecy, a raczej ta myśląca jego część, albo z odrazą od polityki się odżegnuje, identyfikując ją z przedstawionym powyżej przezemnie stanem rzeczy, albo zgłasza kompletne desinteressement w tej sprawie, znajdując ujście dla swych ideałów obywatelskich w pracy społecznej. Tylko nieliczne jednostki rozumieją, że tak robionej „polityce“ przeciwstawić należy politykę zdrową, rozumną, w najszerszym i najlepszym tego słowa znaczeniu, ogarniającą całokształt życia narodu.

Rozumieją więc już kobiety — a jest takich rozumiejących, na szczęście, coraz więcej — że rezultaty załatwiania najżywotniejszych spraw politycznych, ekonomicznych, społecznych i t. d. pod partyj-

nym kątem widzenia spadają całym swym ciężarem na barki kobiet. Rozumieją, że owa ignorancja i zacietrzewienie panów politykierów, brak uświadomienia obywatelskiego, przewaga gorszącego egoizmu partyjnego nad poczuciem dobra ogółu i interesu Państwa, staje się groźnym memento.

To też te mądre, dobre obywatelki, rąk nie załamując, próżnym żalom się nie poddając, organizują się, prowadzą na szeroką skalę akcję uświadamiania obywatelskiego, politycznego i społecznego, upominając się coraz częściej i mocniej o należne im prawo czynnego udziału we wszelkich ciałach samorządowych, a zwłaszcza w instytucji ustawodawczej — w sejmie.

Coraz głębiej do świadomości świata kobiecego przenika przeświadczenie o konieczności przeciwstawienia owym upadającym wartościom — i to w każdej dziedzinie, jakie reprezentuje mężczyzna — wartości prawdziwych, polegających na znacznie wyższej etyce społecznej i indywidualnej, na większej ideowości, na bardziej żywym, bezpośrednim i ludzkim stosunku do każdej sprawy. Zaczynają kobiety nareszcie szeroko otwierać oczy, zastanawiać się i wyprowadzać wnioski z pewnych przesłanek.

Zastanawiają się więc nad zagadnieniami polityki, szczególnie wewnętrznej — a więc choćby nad sprawą mieszkaniową, która staje się najbardziej palącą sprawą dnia, bez której rozstrzygnięcia wiele pięknych hasel staje się mizernymi frazesami.

Polityka wewnętrzna! Jeszcze kilkadziesiąt tysięcy ziemianek znajduje się na terenach północno-wschodnich województw. W ziemiankach tych mieszkają ludzie. Kto tego nie widział, nie może mieć pojęcia, co to za straszna rzecz! Iluż to obywateli Państwo traci w owych lokatorach okopów, którzy w warunkach, w jakich żyją, nie mogą pozwolić sobie na luksus patryjotyzmu. Do iluż z nich ma bardzo łatwy dostęp komunizm przez pomost nędzy i głodu!

Zarządzenie temu przez racjonalną, planową gospodarkę, polegającą na stosowaniu zasady kolejności wydatków — to także polityka. I jakaż kobieta, o ile nie jest bezduszną lalką, mogłaby powiedzieć, że ją te sprawy nie obchodzą? Jakto? Nie obchodzi ją, w jakich warunkach będą kiedyś żyły jej dzieci? Jeżeli już nie umie, czy nie chce w rozumowaniu swoim uwzględnić momentów natury ogólnej, to niechże poszerzy to swoje uczucie macierzyńskie zdolnością, czy chęcią przewidywania.

Niedawno przepadł wniosek jednej z posłanek o stworzenie 5-ciu stanowisk inspektorek pracy, których mamy aż dwie! na olbrzymie rzesze kobiet pracujących, przeciwko którym coraz widoczniejsza toczy się walka, jawna i podziemna, w sensie obniżania ich uposażeń, nie przyjmowania na stanowiska, wybitnego upośledzania pod każdym względem na korzyść mężczyzn.

Polityka wewnętrzna! Co za bezmiar zagadnień! Oto chociażby opieka nad kobietą, nad matką i dzieckiem — naturalnie, „ustawowo“ przewidziana, ale jak to wygląda w praktyce i w uwzględnianiu kolejności wydatków, wiemy doskonale, choćby ze statystyki ofiar handlu żywym towarem, która to sprawa specjalnie spotyka się z niezrozumiałą apatią i obojętnością ze strony świata kobiecego. „Mojej córce to nie grozi“ — przecina kwestję szanowna matrona z towarzysztwa. A jednak, kto wie... o ile już argument o straszliwym sponiewieraniu godności kobiecej nie pomaga. Tak! opieka nad kobietą fatalnie się przedstawia — weźmy chociażby niezafatwioną sprawę prawnego dochodzenia ojcostwa, sprawę pozbawienia kobiety udziału w sądownictwie, zwłaszcza, jeżeli chodzi o sądy nad kobietą, nad nieletnimi, gdzie mamy jedynego w Polsce sędziego-kobietę; sprawę dawania w urzędach pierwszeństwa mężczyźnie, nawet, gdy kobieta utrzymuje dom, gdy jest wdową, lub porzucaną i t. p.

Mężczyźni nie mają czasu na te drobiazgi! Niekiedy uchwalają bardzo humanitarne ustawy, ale tu znowu egzekutywa, będąca w męskich rękach, szwankuje, a co gorsza, interpretacja owej ustawy jest niekiedy źródłem wielkiej demoralizacji. Dość przypomnieć zakaz picia napojów alkoholowych przez niedzielę, święta i sobotnie popołudnie. To jest też polityka! Brzemieniem strasznym jest dla setek tysięcy żon i matek to cyniczne nieprzestrzeganie owego ograniczenia. A piją coraz więcej. Można to wytłumaczyć właśnie brakiem mieszkań, ciemnotą (do 40% analfabetów w niektórych województwach), niskim poziomem kultury, który daje się zaobserwować zarówno w warstwach niższych, jak wyższych.

Brak miejsca nie pozwala mi na dalsze roztrząsanie tych tak żywotnych spraw, których tysiące przecież domagają się nareszcie naszej ingerencji.

Niestety, ogół kobiecy odnosi się do owych spraw z dużą apatią, albo z kompletnym analfabetyzmem społecznym i tylko nieliczna część kobiecego społeczeństwa nie utożsamia owej djabelskiej szopki z pojęciem polityki.

Kobiety naogół powtarzają bezkrytycznie, co mąż mówił „przy obiedzie“; jeżeli czytują gazety (dość rzadki wypadek), to naturalnie święcie wierzą w to, co tam „stoi“, a wogóle, dzięki właśnie swemu analfabetyzmowi politycznemu i zupełnemu brakowi krytycyzmu w tych sprawach, dają wszystkiemu wiarę, przyczem ostatni informator ma największą rację. Może to i paradoks, ale często bardzo z wyżej przytoczonych racyj takie analfabetki stają się prawdziwymi fanatyczkami w tym obozie, do jakiego uda się je wciągnąć.

Na szczęście, na tle owej apacji, czy ciemnoty w połączeniu z fanatyzmem (gorzej, jeżeli ten fanatyzm idzie w parze czasem nawet z uniwersyteckim wy-

kształceniem), spotyka się niewiasty obywatelsko uświadomione (jest ich coraz więcej), zdające sobie doskonale sprawę z tego, że dobro Państwa polega przede wszystkim na posiadaniu silnego rządu.

Młody organizm państwowy zмага się ze straszną chorobą partyjniactwa, która nie toczy na szczęście całego społeczeństwa. Szerokie jego masy chorują na śpiączkę. Wśród tych mas przeważają kobiety, i tutaj stoimy wobec wręcz zatrważającego braku instynktu samozachowawczego.

Jesteśmy społeczeństwem, w którym niema opinji zarówno życzliwej, jak i krytycznej w stosunku do różnych spraw; niema, naogół biorąc, uświadomienia obywatelskiego. Zwalić całą winę na rząd — ten, czy inny — nie poczuwać się do żadnej absolutnie współodpowiedzialności, ot tak, coś w rodzaju: „ja płacę—ja wymagam“—a reszta nic mnie nie obchodzi. I oto wśród tej martwoty, albo nienawiści i wiecznego krakania z jednej, a bezkrytycznego uwielbienia z drugiej strony — wybucha jasnym promieniem budząca się z długoletniego letargu, z narzuconego jarzma *mola kobiety* — może jeszcze bardzo niedostatecznie, jeśli chodzi o ilość, ale cudownie, imponująco, gdy chodzi o jakość jej zbiorowego wysiłku. Oschłości i formalistycy męzczyzny na każdym niemal stano-

wisku przeciwstawia gorący, ideowy stosunek do powierzonej sobie sprawy; jego partyjnemu, czy „męskiemu“ kątowni widzenia — głębokie poczucie odpowiedzialności wobec Państwa i wobec ogółu.

Budzi się kobieta. Ale to nierozłączne z jej obudzeniem się uzdrowienie życia politycznego nastąpić nie może przy bierności politycznej mas kobiecych, stanowiących 53% ogółu ludności.

Kobieta musi nareszcie wyjść ze stanu apatii, negatywizmu — musi zająć jak najbardziej świadome i wyraźne stanowisko w stosunku do palących zagadnień chwili; kobieta musi nareszcie zacząć zajmować się polityką. Musi wnieść w zatęchłe życie partyjne ideę interesu Państwa; musi zastąpić egoizm „polityków“ idealizmem swej gorącej duszy; niejednokrotnie splamione „politycznymi aferami“ dłonie męskie zastąpić czystymi rękami kobiet, które dorosły do wzięcia udziału w życiu politycznym i społecznym narodu.

Najwyższy czas stanąć do pracy, najwyższy czas zacząć się organizować, tworzyć kadry armji kobiecej, tworzyć postulaty „kobiecej“ polityki, aby, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, stanąć do pracy w sejmie nad poprawą doli ogółu, swojej i swoich najbliższych.

Janina Strzelecka.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

## PRZYJAŻŃ MOJA

*Przyjaźń moja jest trwalsza, niż pachnące goździki,  
I całe ogrody kolorowe stwarza —  
Spłoszona — odlatuje bezpowrotnie, ptak dziki,  
Więc uważaj, uważaj, uważaj!*

*Przyjaźń moja jest nazbyt całkowita i szczerą,  
By się cofnąć z nad przepaści brzegu —  
Zdradzona raz — umiera, bezlitośnie umiera,  
Przestrzegam cię, przestrzegam, przestrzegam...*

*Przyjaźń moja żelazna prysnąć może, jak piana,  
Choć przelamałam z tobą symboliczny korowaj,  
Nie zleknie się anioła, nie przerazi szatana —  
Zachowaj ją, zachowaj, zachowaj!*

## TERRE À TERRE

*Uparte, pogańskie, niezwalczone przywiązanie  
Do ziemi, małej planety, ale własnej matki...  
No, dobrze, ale po śmierci, co się ze mną stanie,  
Kiedy wylecę sama z mistyglej ciała klatki?*

*O Boże, Boże! czemu nie nęcą nieubłaganie  
Rajskie obietnice, pachnące ambrawą rozkosze,  
Dlaczego zamiast wzlotów rolę po ziemi dreptanie  
I wyzutą z mistycyzmu duszę po ziemi obnoszę?*

*Dlaczego ja pochodnia, ja płomień, ja lava,  
Spalam się w służbie życiu, co różgami siecze,  
A przed śmiercią żelazna miażdży mnie obawa?  
Ach! jakże zdobędę niebo, gdy mam serce człowiecze!*

## NIE CHCĘ

*Jak Chrystus, nie chcę pić zaprawionego żółcią wina,  
Które mi życie zgotowało —  
Szumię, wybucham i nie wiem, kogo przeklinać  
Za to, że szczęście moje zatrutą przesytyto strzałą!*

## NA FORUM WIELKICH POTĘG

Pamiętamy wszyscy, jakie przyjęcie spotkało w Paryżu delegację kobiet, które zwróciły się do sfer miarodajnych z prośbą o przyjęcie ich i ich petycji, podczas podpisywania paktu Kelloga. Otóż zmieniło się widać sporo od tego czasu w polityce wielkich mocarstw i w ich stosunku do sprawy kobiecej, gdyż obecnie delegacja kobiet przedstawiła swój memoriał na konferencji rozbrojeniowej morskiej w Londynie i nie tylko że ją przyjęto, ale nawet uczyniono to z wielkimi honorami.

Inicjatywa interwenjowania w Londynie wyszła od kobiet amerykańskich. Wielka Liga kobieca „Zwalczania przyczyn wojny” zorganizowała całą akcję. Do Ligi należy obecnie jednaście związków kobiecych w Stanach, a mianowicie: Federacja Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem, Rada gospodarcza kobiet, Federacja północno-amerykańska, Federacja Klubów Kobiecych Ameryki, Chrześcijańskie Stow. Młodych Kobiet, Rada Narodowa Kobiet żydowskich, Narodowa Federacja Klubów kobiet pracujących zawodowo, Liga Narodowa Kobiet-Wyborczyń, Narodowy Związek prohibicjonistek, Rada Kobieca amerykańskiej Ligi Etycznej, Narodowa Liga Handlowczyń. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że każda z tych Lig i Rad liczy dziesiątki i setki organizacji, zrozumieemy, że Liga Zwalczania przyczyn wojny miała prawo uzasadnić swe wystąpienie faktem, że przedstawiła opinię ogółu kobiet amerykańskich ze wszystkich sfer społecznych, że tę opinię zna doskonale i posiada pełnomocnictwo do przemawiania w imieniu milionów.

Zredagowano więc do konferencji rozbrojeniowej morskiej w Londynie adres, domagający się definitywnego i praktycznego rozstrzygnięcia trzech punktów: 1) Uwolnienie obywateli wielkich mocarstw morskich od olbrzymich ciężarów, związanych z utrzymaniem zbrojeń na morzu; 2) ograniczenie tych zbrojeń tak, aby wszystkie narody były zabezpieczone przed agresją; 3) zaprzestanie raz nazawsze rywalizacji zbrojeń między wielkimi państwami morskimi.

Do tej petycji amerykańskiej przyłączyły się odezwy kobiet angielskich, japońskich i francuskich. Na czele delegacji stanęła nestorka amerykańskiego ruchu politycznego, założycielka i długoletnia przewodnicząca Międzynarodowego Związku Praw Wyborczych i Pracy Obywatelskiej Kobiet — pani Chapman Catt.

Delegacja przyjęta została przez prezydenta ministrów Mac-Donalda, obecni byli również delegaci Japonii, Australji i Nowej Zelandji.

Nie należy się ludzi, aby głos kobiet mógł zażywać na rezultatach konferencji. Wchodzi tam w grę zbyt wiele intryg politycznych, zresztą obecnie raczej sprzyjających nietylko ideowym rezultatom konferen-



*P. Chapman Catt.*

cji, ile właśnie wynikiem praktycznym. Wiadomo mianowicie, że ani Anglja, ani Ameryka nie mają po prostu pieniędzy na budowanie nowych olbrzymów morskich, które w dodatku bardzo prędko „wychodzą z mody” i są po kilkunastu latach staremi pudłami, których jedyną wartością jest, że pochłonęły miljarde. Z tego powodu z wielkimi pancernikami jest spokój, nikt się do nich nie pali; zato na punkcie łodzi podwodnych, mniejsze zwłaszcza państwa, jak Francja i Włochy, nie chcą ustąpić i wogóle cała konferencja skończy się prawdopodobnie na oficjalnych, dyplomatycznych zapewnieniach, to znaczy — na niczem.

Na to, aby kobiety mogły powiedzieć „ważkie słowo” i wpłynąć istotnie na przebieg tej, czy innej podobnej konferencji, musiałyby brać w niej udział w charakterze delegatów pełnomocnych, t. j. ministrów danych państw, mając obok tego przewagę w swoich parlamentach. Tak daleko nie zaszłyśmy. Sam jednak fakt przyjęcia delegacji kobiecej przez Mac-Donalda, w otoczeniu urzędowej asysty ministrów-delegatów, jest wypadkiem doniosłego moralnego znaczenia: liczenia się przez państwa z opinią nie tylko polityczek i działaczek, ale ogółu kobiecego w każdym społeczeństwie.

*N. J.*

HERMINJA NAGLEROWA

46)

## ZAWALIDROGA

(powieść)

## XLII.

W tym czasie napewno dobroć panowała na świecie i ramiona rozszerzały się w pospólnem pojednaniu. Franek błogosławił wszystkich własnym szczęściem, niby święty w ekstazie, a jednocześnie oddalał się od spraw ludzkich, nieciekawym już ich stawianiem się, ich odmiennego przebiegu. Oddzielił się od nich, jak wyspa, oderwana od lądu, i, jak Robinson — własne zakładał gospodarstwo. Coś jakby z niczego tworzył, coś zdobywał nowego dla swoich nieużytych i nieprzydatnych dotąd sił. Wznosił strzeliste myśli, dźwigał przyziemne, codzienne sprawy i niby z różnolitego materiału coś dla siebie budował, sklepił, zdobył. I jeszcze zamało było tego posiadania, tej realnej pewności, że się już zawładnęło wyłącznym szczęściem dla siebie.

Zwierzenia i długie rozmowy powiększały więc jakby stan posiadania. Potrzebna była ta wiedza o sobie, sięgająca do śmieszności i rozczuleń dzieciństwa, potrzebne były te wszystkie wydarzenia wesołe i smutne — nadawał jakby ziemskiej wagi balast rodzinnego otoczenia, a sąd o ludziach i wszelkich sprawach ujawniał stosunek do świata. Sięgano wgłąb swoich serc badawczo i odważnie, aby nic nie zataić, razem rozgrzeszać się, razem zdumiewać się nad swoją niewytłumaczalnością.

Bywały też poważne i sumienne bilansy rzeczywistości, a czasem mówiło się o sprawach, wydymających się, jak żagle na wietrze. Więc przedewszystkiem o sławie Franka: jak to kiedyś będzie, jak to będzie? I trzeba było w ciszy pomodlić się do takiej chwili, aż zanadto wielkiej i ważnej. Poczem znowu wracano do terażniejszości, przytulnej i rozszczebiotanej śmieszności słówkami. Wyskubane brzegi skryptów znaczyły ten czas nieprzytomnego próżniactwa i dopiero, gdy kroki matki, skradającej się czujnie i śledczo pod drzwiami, zdradzały się nieuważnym skrzypnięciem, mądre wywody Szobera odzywały się oszukańczą gorliwością głosu.

Trzeba więc było wynajdywać miejsca bezpieczne, gdzieby ich nikt nie obrażał podejrzliwością. Wyznaczali sobie spotkania w Alejach, albo w innych odległych dzielnicach miasta. Najbardziej cieszyły zacisza kolonij, małe domki, jakby schwyte w sieć, uplecioną z nagich gałęzi krzewów. Musiało się wtedy myśleć o swoim domu, o własnych oknach, w których świeci się światło. Nową falą narastały plany na przyszłość i już można sobie było wyobrazić, jak staną meble, jak będzie się podejmowało przyjaciół.

W obłokach parującego oddechu błyszczał uśmiech przekory, że tak tu sobie chodzą ulicami, przytuleni do siebie, skoro niektórzy ludzie są zanadto ciekawi i natrętni. A trochę trzeba było smucić się, że tak bez dachu nad głową jest ich miłość i że zapada zmierzch, zmazujący ich twarze. Ale nagle zapalały się latarnie i twarze pokrywały się blaskiem, niby ciemny metal, galwanizowany srebrem.

Z rozmów, sięgających w nieobliczony czas, trzeba było niekiedy wyluskać chwilę obecną, już nieco mniej łaskawą. Bo Hanka była pewna, że matka czegoś się domyśla, że już to sobie rozważa swoją burkliwą metodą. I tak właśnie gniewało, że pierwszą przeszkodą była matka, że przeciw matce musiało być to pierwsze wzburzenie. — W ten właśnie sposób — rozumowała Hanka — zaczynają się rwać „rodzinne węzły“, w ten sposób, przykry i niemal wojowniczy, odchodzi się z domu rodziców. Coś, co było najbliższe, prawie przylegało do siebie ciałem, staje się obce i nieprzychylne. Jak przed pościgiem, trzeba uciekać ze swoim szczęściem.

Gdy tak mówiła, Franek usiłował wyobrazić sobie, jakby się zachowała jego matka. Bo prawie wcale nie myślał o matce, odkąd był szczęśliwy. Zostawił ją na uboczu, zapomniał o niej. I było mu dobrze z tą niepamięcią. Jeszcze w tej chwili, gdy to sobie uprzytomnił nieco zdziwiony, że tak mogło się stać, stwierdził: — Ona sobie, a ja zosobna, z moim własnym szczęściem! — Powiedział nawet Hance, żeby nie dramatyzowała zbytnio swojego stosunku do matki. I tak jej to kiedyś będą musieli wyznać i tak to będzie wszystkim wiadome.

Ale choć to sobie i Hance rozumnie tłumaczył, nie mógł już oderwać się od swoich domowych spraw. Pustoszące uczucie pogardy zdawało się wymiatać z serca całe ciepło, a przygarnięte ramię Hunki stało się nagle martwe i drewniane. Jak dygocąca igła magnesu, skierowała się myśl w stronę matki i wskazywała właściwy kierunek. Jak daleko już doszła w swoim bezrozumie?

Hanka, niby kierowana jego myślą, powiedziała:

— Ciekawa jestem, czy i twoja matka tak samo? Czy i ona patrzyłaby na nas, jak na przestępców?

Franek odrazu się najeżył, aby matkę obronić przed nieżyczliwym słowem Hunki. Wszystko przecież wiedziała o jego matce tak, jak to jej sam opowiedział.

— No, tak, twoja matka inaczej tę sprawę rozumie — przyznała Hanka.

Nie odczuwała więc niechęci do jego matki, ale jakby ją lekceważyła. Franek miał teraz wrażenie, że Hanka przekraczała jakieś graniczne kopce i wchodziła na niedozwolony teren. Nie można było zabronić Hance, żeby w ten sposób odnosiła się do jego matki i nie można było żadną miarą wyrazić swego sprzeciwu. Bo to, co Franka wzburzało w tej chwili, było jakby — poczucie honoru. Cokolwiek więc mówiła teraz Hanka o matce — odczuwał jako osobistą obrazę. Już sama intonacja: — „Twoja matka“ — już ten uśmieszek, że — „inaczej rozumie“ — był niewybaczalny.

— O mojej matce lepiej już nie mów! — zaprzeczył się.

I te nieuprzejme słowa wystarczały, żeby Hanka odrazu, niby stos suchego łuczywa, rozplonęła zazdrością. Było to nagle, olśniewające zrozumienie, że nie jest sama i jedna jedyna w sercu Franka. Wyczuła raczej pierwszeństwo tamtej, skoro matka jest nie naruszalna — mimo wszystko. Dla matki skrzywdził ją odpychającymi słowami i dlatego nie trzeba się łudzić: matka jest ważniejsza dla niego, jest bliższa i naprawdę własna, podczas gdy ona jest jakby dopiero nabyta.

Hanka rozżalała się nad sobą, że tak szczerze i bez namysłu pozbywała się miłości do swojej rodziny, gdy Franek zaledwie ofiarował jej mały kąt w swoich uczuciach. Odmawiał jej przecież prawa do swoich najbliższych spraw, coś sobie swojego zatrzymywał i bronił jej dostępu. Ale wcale jej nie zastraszył swoim zakazem. Niby małe, gryzące stworzonko, zaczęła rozszarpać nitką po nitce szatę, w którą się owinał, którą osłonił się przed nią. Musiała własną ręką dotknąć się jego ran, jego gorącego ciała.

— To ja ciebie kocham, tylko ja!

Wyrzekała się wszystkiego, całego świata, słońca na niebie, ranków i nocy, myśli swoich i nawet życia. Ważyła te swoje dary jego oszczędną, niecałkowitą odpłatą, wykazywała niesprawiedliwość. I wreszcie przypominała mu, jakich to doznawał krzywd i poniżeń od matki, od ojca, jak to nie nie znaczył w ich życiu, podczas gdy dla niej jest — jedyny. Mówiła śmiesznie: — ubóstwiam ciebie!

Rozdrażniony jej zbyt jawnymi słowami, nie umiał zdać sobie sprawy z pomieszanych uczuć. Bo

równocześnie rósł w nim gniew i jakby rozplęwała się po ciele niewymowna wdzięczność. Jednocześnie bronił się przed tą zaboreczą miłością i pragnął, aby go przeniknęła swoją słodyczą. Więc przyznawał, że nie ma nikogo innego na świecie, że wszystko tak jest, jak mówi, ale powinna go rozumieć, powinna rozumieć... Nie potrafi tego określić, ani sobie samemu wyjaśnić, dlaczego tak czuje. To są sprawy, jakby nie z siebie wzięte, jakby nie z myśli i serca. Może są narzucone przez jakąś nieznaną siłę? Przez całe życie, odkąd zaczął pojmować, kojarzyć wydarzenia, wyczuwać wzajemny stosunek ludzi i spraw, otaczała go taka aura, a on sam był niby jądrem w łupinie. I dotąd jeszcze tkwi w tym przygniatającym pancerzu. Wie, dobrze wie, że trzeba było jakoś się wyzwolnić, ale sam nie miał dość siły. Jego przyjaźnie bywały krótkotrwałe, rzeczywistość wydarzeń — jego własnych, jego tylko dotyczących wydarzeń — nie była nigdy tak istotna, żeby go całkowicie opanować. Tamto okazywało się zawsze mocniejsze.

— Ale teraz, teraz — błagała Hanka.

Nie, i teraz nie wie, jak z tem jest. Jakiś leciutki znak, jak puknięcie w szybę po nocy, już potrafi obudzić jego czujność i wzburzyć go lękiem. Ale to pewne, że teraz będzie z tem walczyć jeszcze więcej, jeszcze zaciekłej. A może to się jakoś zespoli, jakoś załagodzi?

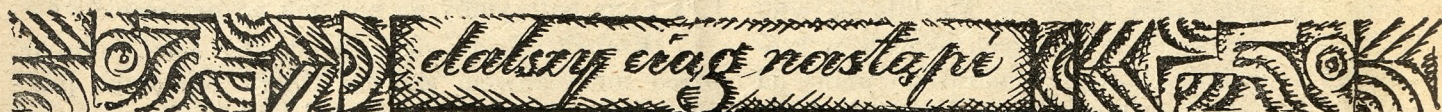
Niedopowiedziane myśli wstrząsały nim, jak febra. Bo przecież nie mógł wiedzieć, czy znowu nie ulegnie, czy w szczęściu wytrwa, skoro już go pociągnęły ku sobie tamte sprawy i stawały się czemś więcej, niż gniewem, bo jakimś aż nazbyt wzniosłym poczuciem honoru.

— Boisz się prostych słów — powiedziała Hanka — bo to ty właśnie przemilczasz, ty nie mówisz wprost. Ten „pancerz“ jest, doprawdy, urojony.

— Pomówię z matką o tobie — postanowił. A dla siebie pomyślał, że to, co jest takie ważne dla niego, może jakoś zmienić wszystko, jakoś polepszy, poprosto wciągnie matkę w jego osobiste życie. Pomyślał jeszcze: — Stworzy dla niej rodzinę, będą przecież wtedy we troje.

Matka szeleściła już dżetami wieczorowej sukni i w pośpiechu dopijała herbatę. Ale Franek, nie zwlekając, powiedział jej o Hance.

— Jutro o wszystko się rozpytam, bo dziś śpieszę się.



M. H. SZPYRKÓWNA

## INNE DUSZE

Nie wiem, czy odrazu na wstępie nie popełniam błuźnierstwa ze stanowiska dogmatu, bo pisać mam o zwierzętach, a zwierzęta, podobno, duszy nie mają. Ale pozwolę sobie na ten raz obejść kanony z tego powodu, że nie mam na myśli t. zw. ducha nieśmiertelnego, który pobieżnie nazywamy (a nieściśle) duszą, tylko — owo coś, co w człowieku cierpi, czuje, kocha i raduje się, a co jest zwierzęciu, jak i człowiekowi, wspólne: pierwiastek emocjonalny, zwany również pobieżnie duszą. Przystańmy, że jest to taka mniejsza, pośledniejsza, drugorzędna i obiegowa duszyczka, póty się kołacząca, pokąd żyje ciało, i potem znikająca, ale która przez czas życia przecież — jest!

Kiedy dzieckiem czytałam Robinsona — a i któż go nie czytał!... — strachem, podziwem i grozą napelniało mnie zwłaszcza obchodzenie się ludożerców z jeńcami. Rozumiałam jednak, że jest to już coś, co, dzięki Bogu, przeszło i zostaje już tylko opisywane w książkach. Dla wielkiej części ziemi tak też i jest istotnie.

Ale oto dziś dorosłam i widzę więcej. I myślę nieraz, że może nie nasze wprawdzie jeszcze dzieci — ale dzieci którychś dzieci jednakże, czytając propagandowe książki Przyjaciół Zwierząt (a sama taką piszę również) — z grozą i litością będą myślały, jakże straszne działy się na ziemi rzeczy! Ale że, dzięki Bogu, już przeszły, i czytuje się o nich już tylko w książkach, ku wiecznej rzeczy pamiętce.

Wcale w tej chwili nie poruszam sprawy zabijania lub nie zabijania zwierząt w celach spożywczych. Uważam osobiście, że przymusowy wegetarjanizm jest tak samo niemożliwy, jak, powiedzmy, przymusowe przywiązanie. Jak do przywiązania musi dojrzeć dusza, tak do wegetarjanizmu — organizm. Wyłączenie pokarmów mięsnych następuje w drodze normalnej i jedynie wskazanej nie na mocy czynników zewnętrznych (wyłączywszy zalecenia medyczne), tylko na podstawie pewnych przemian czysto duchowych, oddziaływujących na materję, która także zaczyna się wówczas przesubtelniać. Jest to skutek pewnego, by tak rzec, ochędóstwa duchowego, które mimowoli cofa się przed wszystkim, co odczuwa, jako nieczyste i zatrute, a takim niewątpliwie jest wszelkie ciało organiczne, pozbawione życia. Nie będę tu mówiła o doświadczeniach, popierających tę tezę aż nadto jaskrawo analizami, i pobieżnie tylko wspomnę, że wiemy po wsiach posługują się dotąd na trucizny krwią *męczonych* przed zabiciem zwierząt: działa bezzawodnie. Nawet krew człowieka żywego w silnym gniewie, zastrzyknięta małym i delikatnym zwierzętom, zatrzuwa je i zabija. To samo da

się powiedzieć o uczuciu *strachu*: oddziaływa na krew nadzwyczaj szkodliwie. Określenie — strulem się tą wiadomością, a jeszcze dokładniejsze: *martwić się* czemś — odzwierciadlają doskonale prawdziwą reakcję organizmu na niektóre stany emocjonalne, uznane i przez medycynę za nadzwyczaj szkodliwe. Niedarmo katechizm uczy, że namiętności są *zgubne* dla człowieka!

Jeżeli po tych pobieżnych i tylko zaznaczonych niejako uwagach uprzytomnilibyśmy sobie niesłychane umęczenie zabijanych na nasze pożywienie zwierząt, których zatrute składniki wchłaniamy następnie z niesłychanie mało uwzględnianą dotąd przez higienę szkodą: to zrozumiemy może podstawy jarstwa od strony czysto rozsądkowej, pomijając humanitarną. Ale przyzwyczajenie, warunki ogólne, nieumiejętność zorganizowania sobie inaczej racjonalnego odżywiania — odsuwają tę sprawę dla większości jeszcze na plan dalszy: nie przyśpieszajmy jej zbyt sztucznie. Natomiast jednak, dobrze jest, aby wiedziano w szerszych kołach coś o środkach, stosowanych przez małą garstkę ludzkości w sprawie zwierząt nie tyle ze stanowiska ochrony człowieka przed skutkami ich jedzenia, co wprost przeciwnie: z poczucia odpowiedzialności za okrucieństwo człowieka wobec tych swoich żywicieli w godzinie samej ich śmierci, na prawdę ofiarnej, i z dążenia, aby temu katowskiemu procederowi wytknąć jakieś bardziej ludzkie metody. Skazańców postępową ludzkość już traci zapomocą sposobów technicznie bezbolesnych, a w każdym razie — najhumanitarniejszych: tortury i brutalizm odeszły do przeszłości, o ile idzie o wymiar prawa państwowego; pomijamy, naturalnie, Bolszewję z jej katowskimi metodami, jakgdyby stłoczonemi tam z całego świata na krwawe żerowisko. Dlaczegożby w takim razie nie pomyśleć o złagodzeniu tortury niewinnie traconych zwierząt, zwłaszcza, że do czystego politowania powinienby się tu dołączyć i zwykły rozsądek: że im bardziej są męczone, tem więcej się ich mięso przyczyni do naszych artretyzmów, nieżytów i skleroz? Najwyższy czas złagodzić śmierć tym, którzy nas żywią!

Ale głównie trzeba by jednak złagodzić ich życie, bo i tak nie jest radosne. Są zanedbane, może i bardziej jeszcze — niepoznane placówki ludzkości, które jednak potężnie współdziałają z jej duchowym i cywilizacyjnym rozwojem siłą wewnętrznej szlachetności idei, jaką ludzie zdołali wykrzesać z miłości własnych serc i pielęgnować wśród przeciągów okrucieństwa, jak zapaloną u ołtarza świeczkę, którą, po-

wracając w święta kościelne do domów, chronią od wiatru. Do nich niewątpliwie należy i Towarzystwo Ochrony Zwierząt. Nie jest instytucją doraźną, przesadnie wyczuloną, błahą: jest krokiem na drodze postępu, poprzedzonym przez niezapomnianych prekursorów; będzie w tem i walka o zbrodniarza, aby go tracono bez tortur, i o niewolnictwo, które było paręset lat temu jeszcze tak naturalne, jak dziś — zjadanie kotletów, i o karmienie ryb ciałami niewolników przez postępowych i przecież naprawdę wysoce cywilizowanych rzymian.

Wszystkie te dziś niewiarogodne wprost rzeczy były chlebem powszednim w niezbyt dawnej przeszłości — a dziś wydają się nam potworne. Nie mam pojęcia, czy ktokolwiek, kto widział obdzieranie rajskich ptaków — tego kwiatu na skrzydłach, uśmiechu i radości natury — z jego cudownych piór, aby w nie mogła ustroić perukę lub kapelusz kokota w Monte Carlo — nie wiem, czy ten ktoś kiedykolwiek tknąłby się kapelusza z piórami! Zbrodnia pojedyncza może ujść bez wrażenia dla mniej wrażliwych: ale niema takiego hipopotama moralnego, któryby się nie wzdrygnął i nie zachłysnął wstrętem na widok warsztatu zbrodni, jaki przedstawia masowe kaleczenie i mordowanie najpiękniejszych istot, zdobiących naszą ziemię.

W Lourdes oglądałam po sklepach jubilerskich, między innymi kosztownościami, coś najprześliczniejszego, zrazu nawet nie mogłam zgadnąć, jak zostało zrobione: wyglądało na cudowną mozaikę, ułożoną pod szkłem na pudełkach i tackach z czegoś, jak płatki kwiatów, o wspaniałej rozświetlonej barwie. I cóż to było? Zamknęłam oczy z obrzydzenia, litości i grozy — i nie przeszło mi to wrażenie do dziś, jak cień przygwożdżony do słonecznej łąki. Były to poobrywane skrzydła motyli, które tam, na południu, są szczególnie piękne i barwne — i z nich, umiejętnie zdeseniowanych, porobiono mozaikowe wzory pod szkłem. Proszę sobie na chwilę wyobrazić ten proceder, robiony sposobem domowym, przez miejscowych chło-

pów, zapewne posługujących się do tego dziećmi! Wieleż straszliwie okaleczonych potworzą popelzno, obezskrzydlonych, ku śmierci i umierało w męce w tak strasznej męce, w tak potwornej torturze przemocy!

Na zimno i bez wyrzutów sumienia robimy codziennie ze zwierzętami, ptakami i owadami to, czego ludzie nad ludźmi dopuszczają się w chwilach gwałtu i okrucieństwa, pogardzanego przez wszystkich i ścięganego prawem. Czyż ten straszliwy i bezmyślny bolszewizm, jakiego się dopuszczamy wobec najbezbronniejszych, nie kładzie się naprawdę żadnym skutkiem i żadną winą na nas i na dzieci nasze? Czy wielkie klęski dziejowe nie są tylko uplastycznieniem małych, ale identycznych zbrodni, zawierających już w sobie przyszły jej rozwój, jak żołądz zawiera dąb?... Czy małe, pozornie, okrucieństwo, pielęgnowane w małym człowieku, nie rozrasta się w dorastającym wraz z jego wiekiem i nie wydaje wtedy owoców na miarę jego sił?

Obojętnych na niedolę zwierzęcia i ludzka niedola nie wzruszy. Słuszne hasło miesięcznika Przyjaciół Zwierząt, który z pewnością setkom i tysiącom kobiet jest nieznan: nieprawdaż? A niechby się zapoznały! Znajdą niejedno, co im uprzytomni powody i następstwa przyjętych jakoby i niekaralnych cech w nich samych i ich najbliższem otoczeniu. Dowiedzą się, że — powstało stowarzyszenie o założeniu koniecznym, jak zniesienie niewolnictwa i tortur dla strażników: tortury zwierzęce, dziś normalnie i obojętnie przyjmowane, kiedyś będą tematem dla książek o Robinsonach wśród dziczy duchowej. I że cały świat kulturalny już takie zrzeszenia ma, z Polską na pierwszym miejscu. Wszystkie matki, które chcą, aby ich dzieci wyrosły na przyjaciół, a nie na szkodników świata ludzkiego (boć i to, niestety, się zdarza!...), niech nie zaniedbają i tego środka pomocniczego, jakim niewątpliwie w rozwoju psychiki ich maleńkich ludzików będzie przynależność czynna do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt (Hoża 37 m. 4, tel. 34-75).

## POWÓDŹ PLASTYKI

Luty w Warszawie obfitował w wiele wystaw plastycznych o bardzo różnorodnym charakterze.

Ta różnorodność ma swe źródło w charakterystycznym dla polskiej sztuki aktualnej braku koordynacji wysiłków twórczych, co się jednakże nie pokrywa jeszcze ze specjalnem „ożywieniem kierunkowem“, jeżeli wolno się tak wyrazić. Wielość nastawień, bujność poszukiwań, częstotliwość i siła zderzeń wartości

przeciwstawnych — są zawsze oznaką intensywnego życia artystycznego. Lecz wydaje się, że obecne, wyraźnie rozstrzelone tendencje, jakie ujawniają różnego typu nasze ekspozycje, słaba lub żadna łączność między poszczególnymi ugrupowaniami, a nawet elementami jednej i tej samej grupy płyną raczej wogóle z niedość mocno ustalonych i skryształizowanych założeń, z niedość uświadomionych „wierzeń“, ze zbyt-





Władysław Roguski: „Madonna na złotym tle“.

niej chwiejności kanonów. Jeszcze wczoraj pomstowaliśmy na ciasnotę zakreślanych ramek, na jednostronność i skostnienie, łączące się z upartym podpieraniem obranych raz na zawsze słupów granicznych; dziś przeciwnie, uderza niemal zupełny brak wszelkich punktów oparcia, brak tego poczucia, że „niema słuszności poza moją sprawą“, poczucia, które, przejaskrawione, prowadzi do zaniku wolności wewnętrznej, lecz bez którego nie powstanie nigdy żadne dzieło „silne“.

Ta pewna obojętność twórcza, jakby takie artystyczne popuszczenie sobie pasa, wprowadzenie w życie malarskie zasady „laissez aller“ najbardziej uderza w pracach „Szkoły Warszawskiej“, które oglądamy w „Zachęcie“. „Szkoła Warszawska“ — to ugrupowanie młode, składające się z uczniów prof. Pruszkowskiego z warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Można by powiedzieć, że te prace ujawniają duże zdolności wykonawców — i zarazem brak poczucia odpowiedzialności, niewdzięczność jakby wobec losu, który temi zdolnościami obdarzył. Rzetelny artysta wszakże nie maluje błazna cyrkowego, czy klosza z jabłkami, dlatego, że były to objekty, które mu się przypadkowo nasunęły na oczy — lecz, że pragnie

przekazać innym jakąś swoją prawdę, którą najłatwiej mu wyrazić właśnie poprzez owego błazna, czy martwą naturę.

Gdy się patrzy na obrazy „Szkoły Warszawskiej“, odnosi się często wrażenie, że tutaj nastąpiło jakby przegrupowanie w płaszczyźnie wartości, że droga do celu zajęła miejsce samego celu. Właśnie fakt, że ci artyści najwidoczniej umieją się obchodzić ze swoimi narzędziami pracy: płótnem, farbą, że umieją opanowywać trudności rysunkowe i kolorystyczne, zmusza do pytania: „W imię czego to wszystko“? Poza temi płaszczyznami barwnymi nie czuje się istotnych problemów... I dziwna rzecz: ta powierzchowność, lekkomyślność, możnaby niemal powiedzieć, jeżeli chodzi o postawienie jakiegoś jasnego stosunku do rzeczywistości — odbija się również na formie malarskiej. Dobrze narysowany kontur częstokroć nie obramowuje tu pełnego i zwartego kształtu; pod lekkim graniem kolorów na powierzchni obrazu nie wyczuwa się wibrującej, wewnętrznie nasyczonej barwy.

Duże zdolności, a być może, nawet i wybitny



Władysław Roguski: „Portret panny S.“.



E. Geppert: „Kary koń“.

talent wielu z pośród członków ugrupowania nakłada na nich tem większą odpowiedzialność i każe spodziewać się na przyszłość osiągnąć o niebo całe pełniejszych.

Na wyróżnienie zasługują martwe natury p. J. Seidenbeutel, prace *Byliny* doskonale w rysunku, prace *Arcta*, oraz kulturalne i interesujące pod względem kolorystycznym i fakturowym — martwe natury *Bielskiej* (jedne z nielicznych na wystawie, świadczących o poważnem doszukiwaniu się „prawdy o zjawiskach“).

Jednocześnie odbywa się w „Zachęcie“ zbiorowa wystawa Czajkowskiego. Publiczność ma możliwość oglądać zgrupowane razem, dobrze już sobie znane, szarawe, przymglone nieco w kolorycie pejzaże popularnego w Warszawie malarza.

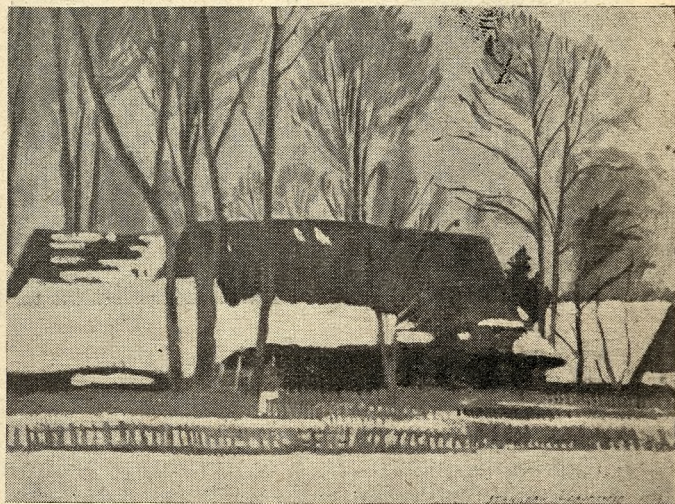
Ruchliwy salon p. Garlińskiego urządził w tym



„Targ na zboże w Kazimierzu“ — kompozycja W. Bartoszewicza.

czasie dwie wystawy. Najpierw *Władysława Roguskiego*.

W pewnym sensie te uwagi, które wysuwaliśmy na marginesie „Szkoly Warszawskiej“, dałyby się zastosować również do twórczości Roguskiego. Roguski daje w swych obrazach układy dekoracyjne, oparte na motywach ludowych. Ale ostatecznie dekoracyjność, jako taka, to jeszcze za mało na pretekst do obrazu. Wszakże i poprzez dekoracyjność można chcieć coś wyrazić, coś nowego ze świata barwy i linji ukazać. I w tem właśnie rzecz, że te stylizowane, o zrytmizowanych płaszczyznach i secesyjnej linji Madonny, akty kobiece, projekty dekoracyjne do sejmu, są powierzchowne, płaskie, nie dlatego, że artysta celowo nie daje żadnej głębi iluzorycznej i tę linearną płaskość specjalnie podkreśla, lecz że poza niemi nie czuje się żadnego *nastawienia poszukującego*, żadnego wy-



Stanisław Czajkowski: „Chaty góralskie“.

siłku, by spojrzeć na rzeczy *po raz pierwszy* — nowemi oczyma. Szkoda.

Obecnie w salonie Garlińskiego wystawia swe interesujące pod względem podejścia do tematu obrazy p. *Eugenjusz Geppert*. Geppert, tematycznie nawiązując do naszej tradycji malarzkiej zeszłego stulecia (konie, polowania, ułani i t. d.) — dokonywa zarazem pewnych rzetelnych i całkowicie modernistycznych osiągnięć w zakresie powiązań kolorystycznych i faktury. Te przecinające się dwie linje nadają specjalne znamię wystawionym pracom — jakiejś lekkiej romantycznej groteski... Formalnie interesujący jest portret mężczyzny w cylindrze.

W Polskim Klubie Artystycznym wystawia martwe natury i pejzaże, w charakterze faktury i ogólnego ujęcia malarskiego niezmiernie zbliżone do paryskich „centrowców“ — p. *Stanisław Grabowski*. l. j.

## Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Melodramat” — sztuka w 11 obrazach Henryka Bernsteina. Przekład Zdzisława Kleszczyńskiego. Reżyserja Karola Borowski. Dekoracje Karola Frycza.

Sztuka w oryginale nazywa się „Melo”, gdyż jej momenty dramatyczne formalnie zespolone są z ilustracją muzyczną, no i, dodajmy, obydwaj bohaterowie i rywale na polu miłości są kolegami i przyjaciółmi na wyżynach sztuki.

Ta formalna strona jest jednak tylko czysto zewnętrzną, przypadkową skorupą, nie zrośniętą nierozzerwalnymi węzłami koncepcji ze rdzeniem sztuki. Odrzucmy tę dekoracyjną lupinę, a pozostanie ziarno treści, nabrzmiałe od miąższu, który jest tak mądrze spreparowany, że każdy w jego chemicznych składnikach odnajdzie to, co mu najbardziej przypada do smaku: melomani — muzykę, amatorzy niezwykłych dreszczów — gęsią skórę, poszukiwacze głębi psychicznej — nierozwikłaną zagadkę duszy ludzkiej, zaplątanej na śmierć we własne sieci; semici — zmysłowość, chrześcijanie — ideał przebaczenia, smakosze artystyczni — świetną kuchnię teatralną.

Kobieta, która zatruwa się sama sobą, zanim zacznie systematycznie zatruwać męża, bo ją rozsadza własna, niewyżykana dostatecznie, stuprocentowa kobiecość; kobieta, której żywiołowy temperament, czasowo rozmiękczony mieszczańskim, pospolitem szczęściem małżeńskim, nie znalazł ujścia w dziecku, więc wybucha przy pierwszej okazji, jak dynamit; urodzona „grande amoureuse”, którą pragnienie zrealizowania wielkiej miłości prowadzi od zdrady do zbrodni, od zbrodni do



Marja Przybyłko-Potocka w roli Joanny.

samobójstwa; kobieta-chimera, pół anioł, pół zwierzę — oto Jasieczka: zrazu domowy rozkoszny bibelocik szarego człowieka, potem kochanka wielkiego artysty, wreszcie ofiara własnej przewrotności, którą topi wraz z życiem swem w Sekwanie...

Ten drobny robaczek ludzki snuje z siebie, jak jedwabnik, pajęczą przędzę morderczej namiętności, omotując nią troje ludzi: męża, kochanka i wybraną przez siebie następczynię przy ognisku domowym, ale nie w sercu tego, nad którym panuje wszechwładnie i niepodzielnie, zarówno za życia, jak i po śmierci. Bowiem środek ciężkości akcji tego (jakże bardzo życiowego!) melodramatu przesunięty jest przez autora daleko po za grób.

Jasieczka — ten lekki motylek o tęczowych skrzydełkach i żądle zatrutem — tajemnicą swego grzechu i swej samobójczej ekspiacji ciąży na życiu trojga ludzi, z których każdy z osobna nieść musi narzucony przez nią krzyż; dla męża jest nim tortura podejrzeń i zwątpienia; dla kochanka — brzemień żalu i poczucia krzywdy, że nie o nim pomyślała w godzinie przedśmiernej; dla Krystyny — piekąca zazdrość o umarłą. I wszyscy troje, z których każde przychodzi na mogiłę Jasieczki z dzbanem, pełnym łez, goryczy i krwawych wypominków, korażą się przed majestatem śmierci i każde samotnie wypija swoją czarę niedoli, którą z nikim nie może się trącić, chyba z umarłą, która wie wszystko.

— Ach! gdyby umarli mogli przemówić? — jęczy Piotr, wijący się w mękach strasznych podejrzeń. Ale umarli milczą. Zato trwają w sercach tych, co zostali, może dłużej, niż gdyby żyli obok nich i zwolna martwieli w pospolitej vegetacji.

Rozwój namiętności, pod których wpływem wzorowa mieszcza przeradza się w kobietę fatalną, został przedstawiony przez autora w szeregu odsłon o nierównym napięciu i konieczności dramatycznej. Metoda ilustrowania przeżyć wewnętrznych zapomocą obrazów niemych, zrozumiała i celowa na filmie — w dramacie trąci manierą rzekomej nowoczesności.

Obrazy dwóch przedśmiertnych momentów Jasieczki: scena pisania listu do męża w podmiejskiej kawiarence, gdzie jednocześnie dwóch podpiłych kamratów zwierza się sobie z uśmiechów fortuny, i scena samobójstwa — dają wprawdzie pole do popisu dla znakomitej artystki, ale nie otwierają nam żadnych głębszych perspektyw psychologicznych, — rozwiłoczą akcję, zamiast ją skupić, co jest przecie istotnem zadaniem dramatu.

O ileż silniejsze odnieśliśmy wrażenie, gdyby ostatnim znakiem życia Jasieczki była odpowiedź na zapytanie męża: — Dokąd idziesz? — Do siebie! — i to fatalne zatrzaśnięcie drzwi wejściowych, wieka nad trumną samobójczyni; gdyby nam oszczędzono widoku milczącej męki człowieka, o którym wiemy, że niema dla niego ratunku. Ale Bernstein jest zanadto majstrem, za mało poetą, aby mógł się zdobyć na powściągliwość w efektach, która jest zawsze cechą prawdziwych bogaczy, nie nuworyszów.

Sztuka jest napisana i była zagrana z wielkim kunsztem i kulturą artystyczną, ale bez natchnienia. Zajmowała, przykuwała, ale nie wzruszyła ani razu. Nawet w mistrzowskiej scenie czytania listu Jasieczki — w nieporównanym duecie Junoszy-Stępowskiego i Leszczyńskiego — podziwialiśmy raczej wirtuozostwo aktorskie, niż bezpośredniość odczucia. Mózg Bernsteina zaciężył nad sercem słowiańskim, kazał mu pulsować nie krwią, ale słowami.

Rola Jasieczki była nowym triumfem aktorskim Przybyłko-Potockiej, pomimo tego, że koncepcja postaci była raczej błędna, bo intelektualistyczna. Jasieczka jest cała impulsem, żywiołem, bezpośrednia zarówno w pożądaniu, w szczęściu, w tęsknocie, w zbrodni, jak w strachu przed odpowiedzialnością i w ekspiacji. Jeżeli nawet zdobywa się na fortel w kuszeniu Andrzeja, zanim zostanie on jej kochankiem, to czyni to z prymitywną przebiegłością instynktu.

Tymczasem Przybylko-Potocka od początku kazała nam wierzyć, że Jasieczka jest doświadczoną uwodzicielką, wyrafinowaną mistrzynią zmysłowości, wirtuozem żądz, nie zaś ich ofiarą. W jej grze wszystko było zanadto obliczone, zanadto na miejscu.

Życzkowska w roli Krystyny była naogół trafna, choć nieco twarda w rysunku.

Dekoracje Frycza pomysłowe i b. nowoczesne.

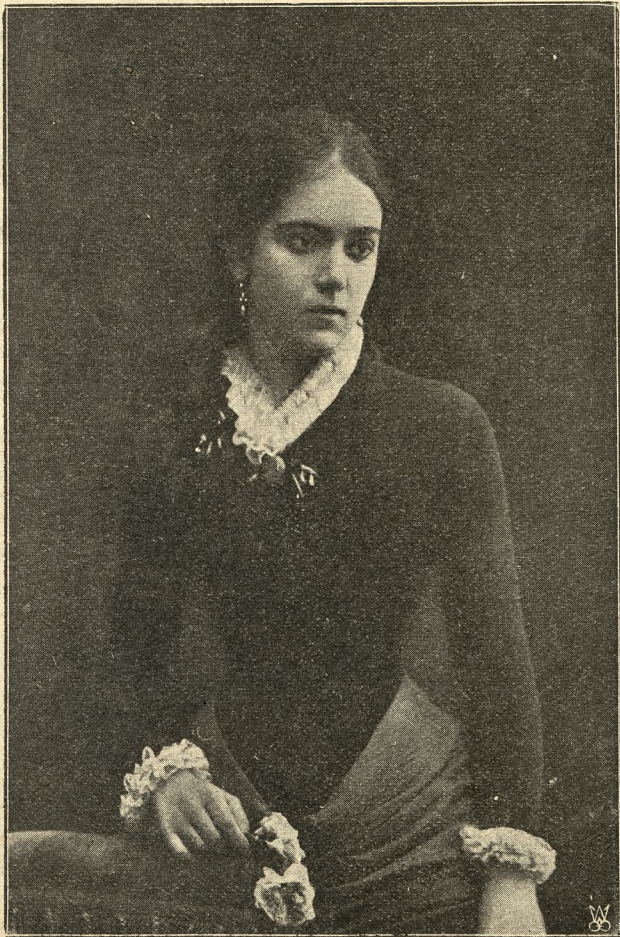
S. P. O.

## Ś. P. JANINA ŻYRKIEWICZOWA (HANNA KRZEMIENIECKA)

Ś. p. Janina z Bobińskich Żyrkiewiczowa urodziła się w majątku Horodyszcze na Ukrainie w r. 1865, a więc w okresie powstaniowym, kiedy całe życie narodowe, szczególnie na Kresach, musiało się tajić w zaciszu domowym i im bardziej było skrupowane nazewnątr, tem mocniej wybuchało w mistycznej egzaltacji dusz młodzieńczych.

W rodzinie Bobińskich żywe były tradycje patriotyczne. Dziadem Zmarłej (po kądzieli) był Bohdan Zaleski; ojciec, Sylwan Bobiński, jako akademik, brał udział w spisku Konarskiego, był sądzony i więziony przez władze rosyjskie, osiedlił się na wsi, poświęcając się całkowicie pracy na roli.

Córka jego Janina wychowywała się w atmosferze kultury duchowej i umysłowej; już, jako kilkunastoletnia panienka, próbowała pióra. Trzy główne składniki tradycji rodzinnej: patriotyzm, poczucie obowiązku i umiłowanie Ukrainy — wy-



Ś. p. Janina Żyrkiewiczowa

warły głęboki wpływ na wrażliwą psychikę młodej dziewczyny i przewijają się później przez całą jej twórczość literacką, pracę społeczną i życie osobiste.

Po wyjściu zamąż za pułkownika Walerego Żyrkiewicza mieszkała przez lat 14 naprzód w Kijowic, potem w Rosji. Dom jej był zawsze ogniskiem, z którego promieniowała polskość. Po roku 1909 osiedliła się na stałe w Warszawie, aby kształcić swe dzieci w polskich szkołach prywatnych, i poświęciła się pracy literackiej. W salonie jej, pod płaszczykiem zebrzań towarzyskich, odbywały się odczyty, cykle wykładów i zakonspirowane posiedzenia w dobie walki o szkołę polską.

Po wybuchu wojny europejskiej brała czynny udział w Lidze Kobiet i była jedną z organizatorek i pierwszych członkiń Zarządu T-wa Pomocy Ofiarom Wojny. Po wojnie starała się walczyć z szerzącym się komunizmem, współpracując w miesięczniku „Walka z bolszewizmem”.

W zakresie pracy literackiej z zamiłowaniem oddawała się beletrystyce. Interesowała ją zwłaszcza zagadnienia spirytystyczne i ezoteryczne. Z większych jej prac, ogłoszonych drukiem, należy wymienić powieść „Lecą wichry”, odznaczoną pierwszą i jedyną nagrodą na Konkursie Jubileuszowym „Kuryera Warszawskiego”.

W każde ze swych poczynań — czy to na niwie literackiej, czy społecznej — Zmarła wkładała dużo prawdziwego entuzjazmu i umiłowania sprawy, czem zyskała sobie przyjaźń ludzką i uznanie za życia, a żal serdeczny po śmierci.

## Kobieta w świecie i w domu

NIECH ŻYJĄ SŁĄZACZKI.

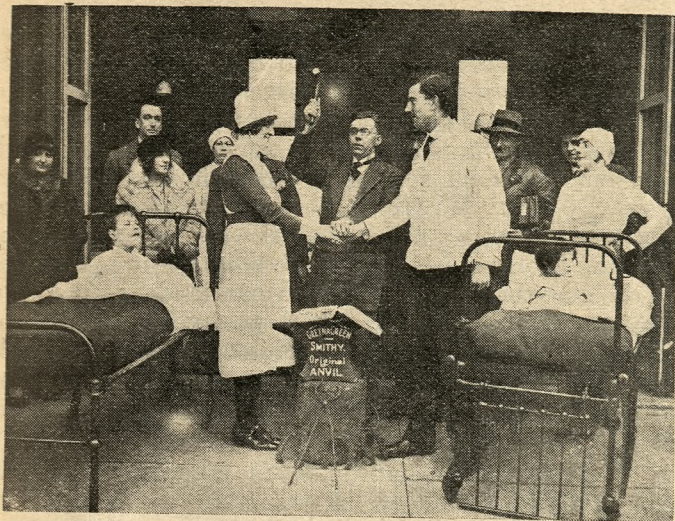
Wybitną inicjatywę społeczną i wyjątkową sprężystość w tym zakresie wykazały uczennice miejskiego gimnazjum żeńskiego w Królewskiej Hucie. Na skutek odezwo Komitetu Daru Narodowego dla Curie-Skłodowskiej, drukowanych w „Bluszczu”, dzielne dziewczynki zebrały, wraz z nauczycielką p. dr. Spoczyńską, sumę 75 zł. 50 gr. i przysłały ją Komitetowi. Zbiórka ta wyprzedziła nawet odnośną odezwę Kuratorjum i stała się pierwszą ofiarą, złożoną na ten szlachetny cel przez szkołę polską.

ZE STOW. KOBIET Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM.

Zarząd Oddziału Pol. Warsz. Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem zawiadamia, że dyżury Członkiń odbywają się w lokalu własnym przy ul. Chmielnej Nr. 10 1 p. front (tel. 506-17) codziennie oprócz poniedziałków i sobót, między 6 — 8 wiecz. W czasie dyżurów można wpłacać składki i załatwiać wszelkie sprawy, dotyczące Stowarzyszenia. Prosimy o odnawianie legitymacyj na rok bieżący.

RODZINA POLICYJNA BUDUJE.

Zarząd Koła „Rodziny Policyjnej” w Wołożynie (woj. nowogródzkie) rozpoczął prace przygotowawcze do budowy domu mieszkalnego dla policjantów i ich rodzin; w domu tym przewidziane jest również pomieszczenie dla przedszkola. Jak dotychczas, nabyto odpowiedni plac i rozpoczęto wózkę kamienia i piasku; można też się spodziewać, że w najbliższym sezonie budowlanym rozpoczęta tak szczęśliwie praca posunie się szybko naprzód.



Kowal z Gretna Green, udzielający ślubu w Birmingham.

### ŚLUBY DAWANE PRZEZ KOWAŁA.

Znana w całej Anglii, a nawet poza jej granicami, jest miejscowość Gretna Green. Leży ona na pograniczu Anglii ze Szkocją, przytem granicę stanowi tylko most na rzece. W 17-ym wieku, gdy wskutek niepokojów politycznych i religijnych w Anglii zawieranie małżeństw było dla wielu osób utrudnione, Szkocja miała pod tym względem znacznie liberalniejsze prawo, zwłaszcza okręg Gretna Green. Znalazł się tam wtedy kowal, który udzielał ślubów, na zasadzie prostego oświadczenia młodej pary, iż pragnie wstąpić w związki małżeńskie. Nowożeńcy składali przysięgę przed otwartą księgą biblii, umieszczoną na kowadle, wpośrodku warsztatu, poczem kowal zapisywał w małej książeczce nazwiska zaślubionych, podług praw miejscowych zupełnie legalnie.

Do Gretna Green przybywały często pary i z innych krajów Europy. Moc prawa ślubów w Gretna Green trwa po dziś dzień, do dziś odbywają się one w tej samej kuźni, przed temże historycznym kowadłem, i do dziś dnia udziela ich praktykujący w tej kuźni kowal. Jak się okazuje, Gretna Green może działać i na zewnątrz. Obecnie Mr. Rennison, następca historycznych kowali, zaproszony został wraz ze swem kowadłem do Birmingham, gdzie udzielił ślubu pielęgniarce i lekarzowi miejscowego szpitala dziecięcego. Przykład młodej pary zachęcił i innych narzeczonych i Mr. Rennison otrzymał cały szereg zgłoszeń. Dochody ze wszystkich ślubów, zawartych przez siebie w Birmingham, przeznaczają kowal z Gretna Green na fundusz owego szpitalika, w którym połączył pierwszych nowożeńców.

### SPRAWA PODATKU KOBIET PRZEWRÓCIŁA GABINET WE FRANCJI

Gabinet francuski upadł. Fakt ten jest tem ważniejszy, iż sformowanie rządu, który istniał zaledwie 3 miesiące, przedstawiało duże trudności i że przesilenie nastąpiło podczas konferencji rozbrojeniowej morskiej w Londynie, wywołując wielkie wrażenie, niemal popłoch, w sferach politycznych wszystkich państw zainteresowanych.

Ciekawa jest bardzo przyczyna, wskutek której parlament odmówił poparcia ministrowi skarbu, p. Chéron, powodując tem upadek ministra, a z nim całego gabinetu.

Otóż, pomimo bardzo pomyślnego stanu skarbu francus-

kiego, „oszczędny“ p. Chéron nie zgadzał się na najmniejsze ulgi podatkowe; chodziło najpierw o rentę dla uczestników wielkiej wojny; emeryturę tę, zresztą b. małą (500—1200 franków rocznie), pragnął parlament przyznać uczestnikom wojny już od 50 roku życia; minister skarbu stawiał, jako granicę wieku, lat 60; pozatem parlament zażądał, aby nie płaciły podatku dochodowego pracujące kobiety zamężne, gdyż jeden podatek w rodzinie opłaca już mąż. Minister nie ustąpił, parlament również nie chciał ustąpić i ta właśnie „kobieca“ sprawa stała się przysłowiową kroplą przepelniającą.

Może byłoby nieco inaczej i nawet napewno, gdyby o sprawie, obchodzącej kieszeń i interesy kobiet francuskich, raczono dyskutować przy ich udziale. Przyczyny upadku rządu Tardieu są o wiele głębsze, narazie jednak doszło do scysji o podatkiczki, które same nie mogą w swej sprawie wypowiedzieć się w sposób miarodajny i skuteczny.

### KLUB AJENTEK BANKOWYCH

Wpółród wielkiej ilości związków i stowarzyszeń kobiet amerykańskich zwraca uwagę t. zw. „Women's Bond Club“ w Nowym Yorku. Jest to organizacja bankowczyń. Większość członkiń Klubu nie rekrutuje się jednak z pośród stałych pracowników banków, lecz stanowią ją agentki, pracujące nazewnątrz.

Kobiety amerykańskie są ogólnie doskonale obznajmione ze sprawami operacyj gieldowych, zupełnie przeciwnie, niż w Europie. Każda amerykanka, prowadząca większe przedsiębiorstwo, lub nawet posiadająca majątek ruchomy lub nieruchomości, orjentuje się w akcjach, procentach, kupnie i sprzedaży i bierze sama czynny udział w obrotach finansowych; wiele pracowniczek wielkich banków otwiera po pewnym czasie własne kantory; każda zamożna kobieta jest w ciągłym kontakcie z tego rodzaju pracami i przedsiębiorstwami.

Wytwarza się więc ożywiona konkurencja, zarówno firm bankierskich, jak i niezliczonych pożyczek, akcji, obligacji, które trzeba sprzedawać, sprzedawać jaknajszybciej i jaknajszerszej rozprzestrzeniać. To zadanie spełniają właśnie doskonale kobiety, agentki bankowe. Głównym przedmiotem ich akcji są właśnie obligacje, „bonds“, stąd nazwa „Bond Clubu“.

Praca ta jest bardzo popłatna: wcale pokaźna liczba pań zarabia 15 do 20 tysięcy dolarów rocznie, nie otrzymując żadnej pensji, tylko procent od sprzedanych papierów, przeciętnie 10 tys. dolarów, a 5 do 7 tys. mają tylko b. mało zdolne początkujące. Naturalnie, im w zamożniejszych sferach ktoś ma stosunki, im więcej posiada znajomości, sprytu, energii, tem interes idzie lepiej.

Zależnie od środowiska, w którym operuje agentka, musi ona być odpowiednio elegancka i obznajomiona z formami towarzyskimi i kulturą, wykształcona; niektóre z tych pań są najwytworniejszymi damami z amerykańskiego high life'u. Prócz tego jednak, każda musi znać gruntownie sprawy finansowe i gospodarcze, znają je bowiem równie dobrze jej... klientki.

Dyrektorzy banków amerykańskich są bardzo zadowoleni z pracy tych agentek; trudno sobie wyobrazić, jak olbrzymie operacje finansowe przeprowadzane są na zasadzie masowej sprzedaży tych „bonds“, obligacji; nowe linje kolejowe, drapacze nieba, fabryki, różnorodne inwestycje.

Popyt na obligacje solidnych banków tłumaczy się tem, że amerykanie lubią odkładać pieniądze, lokując je w papierach obrotowych; że obligacje są różnych wysokości, tak, iż każdy może je nabyć; liczone zaś są głównie nie na niewielką ilość bogaczy, lecz właśnie na sprzedaż masową; nie wiele, ale każdy, a także, iż są pracowicie kolportowane, w czem właśnie dopomagają wydatnie bankom inteligentne, ruchliwe agentki, które same robią na tem świetny interes.

## PRAWO KOBIETY DO SNU

Historja milczy o tem, do kogo z dwojga małżonków należała czynność podsycania nocnego ognia pod skalnem sklepieniem w epoce jaskiniowej. Zważywszy jednak nużącą właściwość procederu łowieckiego i twardość męskiego snu, z całą pewnością możemy przypuszczać, że to kobieta właśnie dorzucała „smolnych szczap“ do cennego paleniska. Pamiętajmy też, że płacz dziecka często i głośno rozlegał się w uszytej ze skór zwierzęcych kołysce.

Od tych czasów niewątpliwie datuje się systematyczne gwałcenie tego podstawowego prawa fizjologicznego w świecie kobiecym.

Każdy z członków rodziny wstaje wcześniej dlatego, że musi wstać; kobieta wstaje jeszcze wcześniej tylko dlatego, że inni muszą wstać. To półgodzinne choćby codzienne przyspieszenie wyrywa ogromny kawał snu z jej życia.

Wielokilometrowa krzątania gospodarska i ustawiczna gotowość stawania do apelu każdego z domowników dodaje pod wieczór ołowianego ciężaru stopom i naciąga nerwy do ostatniej linii wytrzymałości.

Błogość możliwości odpoczynku w pozycji siedzącej i cisza po ułożeniu się do snu wszystkich w domu jest pokusą zbyt silną do podjęcia innej skali zajęć: reperacji, szycia, robót ręcznych, czytania lub korespondencji.

I znów godzina, jeśli nie więcej, czuwania obciąża skąpy budżet snu. Jakże tu bowiem nie wyzyskać chwil spokoju i pewności, że nikt o nic nie zapyta, że nie trzeba rozstrzygać żadnych spraw natychmiastowych, że można myślowo naoliwić na jutro wszystkie tryby maszyny gospodarczej, korzystając z jej nocnego bezruchu?

\* \* \*

Kobieta z reguły idzie spać ostatnia. Któż to zamyka drzwi i gasi światła w całym domu? Jeśli nawet pali się ono, przewodnicząc nocnej pracy w męzkim gabinecie — napięte nerwy wibrują odzwaniem współczucia, a oczy śledzą w ciemności pasemko jasności z pod tamtych drzwi, dopóki i to ostatnie światło nie zgaśnie, dając sygnał wypoczynku. Zresztą czyżby troskliwe ręce podadzą szklankę gorącej herbaty nocnemu pracownikowi — ojcu, mężowi, bratu, lub synowi, wkuwającemu się do egzaminu? Któż wreszcie godzinami wyczekuje na powrót męża z posiedzenia, klubu lub hulanki, syna z niewiadomych eskapad, córki z dancingu? Zgodnie z ustawą o nocnej nadliczbowej pracy i te godziny liczą się drożej — ale płaci za nie sama kobieta zdrowiem, zgryzotą, łzami...

Nie poruszajmy w tem miejscu spraw zawodowych: stosu kajetów do poprawiania, akt biurowych, orki dyplomowej, ponoctnych wykańczań karnawałowych tualet, sklepowych rachunków, dziennikarskich nadwyżek zarobkowych, zmywania talerzy po przoszonej kolacji u państwa. Domowy krąg wystarczy. Jeśli wklinają się weń tamte sprawy, zagadnienie zostaje podniesione do  $n+1$ -szej potęgi wagi i żywotności.

Obrót codziennych zapotrzebowań trzeźwej przytomności i każdominutowej akcji rąk wyklucza

niemal możność dziennej „dużej pauzy“. Sen poobiedni byłby rozrzutnością nie do darowania, uniemożliwioną jeszcze tem, że o tej porze dom kipi od obecności członków rodziny, zgromadzonych w nim po pracy przedszkolnej, szkolnej i zawodowej. Zachodzi przytem potrzeba ściszenia jednych, aby nie zawadzali drugim. Wreszcie — trzebaż się odezwać na wszystkie sprawy, miłe, kłopotliwe, lub wręcz niepomysłne, które z różnych ośrodków pracy, czy rozrywki znoszone są do domu. Może i udaje się komuś odpocząć w tych godzinach, z pewnością jednak nie matce, żonie, córce, siostrze, ciotce, opiekunce — słowem, tej, co wprawdzie nie jest głową domu, ale ma zato cały dom na głowie i zawsze pełne ręce cudzych spraw.

Gdy wreszcie nadejdzie ta nienormalna, opóźniona godzina łóżka, nie zawsze staje się ona godziną snu. Ucieszenie i odsunięcie kłębiących się pod czaszką myśli, obrzydłe małostkowych, przecież wymagających posortowania, odpędza sen nieraz nadługo. Chyba, że fizyczne zmęczenie przemaga zdenerwowanie i zasypia się snem kamiennym, natychmiastowym, świadczącym o tem, jak się go mało ma i jaki jest w tej branży niedosyt organizmu.

Tak z miejsca wali się i śpi umordowane zwierzę do chwili, kiedy poderwie je o świecie powrót obowiązku.

Odbitka z tej życiowej kliszy może się wydać przeczerwiona. Są kobiety, których pokój ubogi nawet, łóżko niewymyślne, ład sprzętów, których nikt i nie nie narusza — stanowi raz na zawsze ustalone kadry uregulowanej nocnej przystani. To pokoje samotnych, którym los zdjął z ramion porównu: zmartwień i radości.

Są jeszcze inne, którym los przychylnie rozstrzygnął sprawę snu. Mają pokoje sypialne najlepsze, najbardziej od kuchni i jej hałaśliwego rytmu oddalone; łóżka na podobieństwo lektyki czy sarkofagu; bieliznę z mgielnych tkanin; łazienki, bez których niepodobna istnieć dnia, a nawet paru godzin. Tak staranna oprawa pokoju sypialnego już na oko świadczy o żywości kontaktu z łóżkiem, o dosycie snu, leżeniu przy najlżejszej niedyspozycji.

Pieniądze? Szczęście? Miłość? Minimum rodzinnych obowiązków? Umiejętność urzędzenia się? Lenistwo? A może właśnie energia, praca i wydajność dzienna, która pozwala tak skutecznie odwojować i ozdobić nocny wypoczynek. Różne drogi prowadzą do tego błogostanu. Nie wszystkie byłyby do polecenia, na jedną wszakże wartoby zwrócić uwagę.

Sen dorywczy, przypadkowy, stale do minimum zredukowany — ma zwykle nieodpowiednie, byle jak klecone ramy. Niezależnie od tego, jaki stopień pokrewieństwa lub stosunku służbowego łączy niedysypiającą z innymi domownikami, miejsce jej nocnego spoczynku odznacza się w najlepszym razie schludnością. Jeśli osobny pokój — to zawsze ten najgorszy, blisko kuchni (żeby nie budzić innych współlokatorów); łóżko pierwsze-lepsze (i tak się w niem nie mieszka), otomana, kąt, odgradzony parawanem; o jakichś tam wymysłach lampowych niema mowy. A przecież, nie czyniąc z łóżka i sypialni ośrodka życia, dałoby się jakoś upomnieć o swe naturalne prawa i dążyć do ich realizacji. Droga — rozumie się — organizacji życia. Ostatnio z wszystkich dróg tę wła-

śnie wybieramy, jako najmniej krzywdzącą otoczenie, a skuteczną.

Zresztą, to żadna sztuka skonstruować splot żywotów ludzkich tak, że jeden z nich jest stale poszkodowany. Z czysto mechanicznego punktu widzenia jest niedobrze, gdy jedna z części maszyny, stale przegrzewana i niedość oliwiona, szybciej od innych wychodzi z obiegu, jako niezdatna do użytku. Życie kobiece zużywa się zbyt szybko — a dałoby się i dłużej zachować w świeżości i polepszyć.

Prostu należałoby sprawdzić, czy w regulaminie domu niema błędów, opierających się reformom mocą zwyczajowego (najbardziej ze wszystkich nieubłaganego) prawa. Może drobne przesunięcia pozwoliłyby kobiecie obwarować sobie najskromniejsze minimum — 8 godzin — jeśli nie snu, to zupełnego odseparowania, w leżącej pozycji, od wszystkich domowych spraw.

Może późno-wieczorowe czynności dałyby się wsunąć w rozkład dziennych godzin. Szczegółowe dyspozycje z wieczora, ewentualnie kolejne dyżury innych członków rodziny, mogłyby może przesunąć ranne wstawanie? Czuwanie przy niespokojnie śpiącym dziecku dałoby się może zupełnie usunąć jakimiś głębiej sięgającymi w pedagogikę i higienę sposobami? Nocnym wyczekiwaniom zaś „przez rozum“ można by odjąć coś niecoś z niepokoju i napięcia.

Również systematyczny nakaz woli mógłby odsunąć nocne troski, aby ujęły nadprogramowej myślowej pracy przed zaśnięciem i pozwoliły wypocząć zwojom mózgowym.

Przedewszystkiem zaś gorąco należałoby polecić pewne nieznaczące, stopniowo chociaż wprowadzane ulepszenia zewnętrznej — jakże bardzo jednak istotnej — dekoracji snu.

Wygodne łóżko lub tapczan; kąć bardziej odo-sobniony; podręczny stolik lub szafka z lampą, odpowiednio osłoniętą; pogodna, miła książka, owoce lub lekka herbata i — uchylone okno, wpływające tak bardzo dodatnio na spokój i głębokość snu.

Te drobne szczegóły i udogodnienia mają w sumie dużą siłę przyciągającą. Łóżko nie powinno być tem, najschludniejszym choćby legowiskiem, na którym obezwładnione zmęczeniem ciało zapada w natychmiastową otchłań snu, aby się zerwać na ranny apel (przekleństwo przebudzeń budzikowych!). Powinno ono być zarówno miejscem wypoczynku, jak okresem koncentracji myślowej, czemu stoi na przeszkodzie rozbijanie wieczornej kontemplacji na okrucy dokuczliwych drobiazgów. W przedsennem skupieniu dają się rozstrzygnąć i powiązać ze sobą sprawy daleko bardziej ważne i zasadnicze, niż dalszy ciąg umartwień dniowych. Kiedyż, jak nie na tym przelomie dziś i jutra, znajdziemy czas i miejsce na wniknięcie w siebie i ten wewnętrzny porachunek duchowy, bez którego żadna myśląca jednostka nie powinna uważać dnia przeżytego za uczciwy odrodek swego przeznaczenia? Jest to czas, którego nie powinnyśmy oddawać niczym brutalnym szponom.

Pełna harmonja wypoczynku cielesnego z moralnym — chociażby ten ostatni przybrał formę głębszej duchowej pracy — jest podstawowym warunkiem tworzenia i rozwoju naszych ludzkich wartości. Dlatego prawo do snu, jego dostatecznego trwania, spokoju i kultury — musi być dla wszystkich wywalczone.

W. Borudzka.

## PRZEDWIOŚNIANE REFLEKSJE

Aczkolwiek wszystko jest jeszcze pogrążone w zimowem odrętwieniu, jednakże coraz dłuższe dni zapowiadają upragnione nadejście wiosny. A chociaż nieraz jeszcze zimno, wichur i śnieg z deszczem dadzą się nam we znaki, to jednak nadchodzi uroczysta chwila, kiedy otworzą się wreszcie wszyściutkie okna.

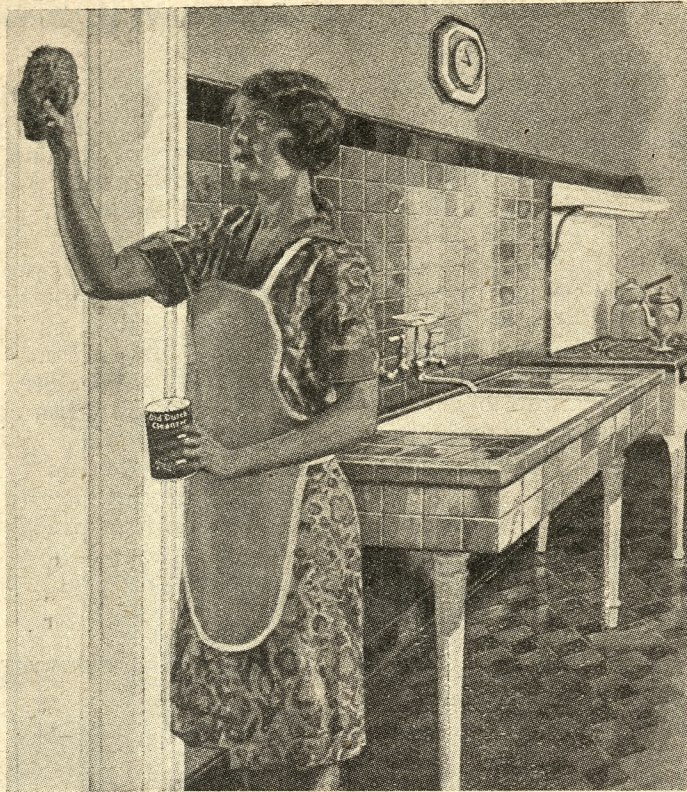
Ożywczy prąd powietrza wniknie do wnętrza, hermetycznie zamkniętych przez całą zimę. Wprawdzie sprzątano je, tu i owdzie były nawet w ruchu odkurzacze elektryczne, wchłaniające wszelki brud, ale okna były zamknięte. W domach, stojących wzdłuż ulic, gnieniegdzie tylko można było zauważyć otwarte okno, co natychmiast zwracało uwagę sąsiadów. Ale przeważnie otwierano tylko oberlufty i lufciki (dlaczego nie przyjął się dotychczas żaden polski wyraz na określenie tego przeżytku?).

To też przez zimę większość okien w kraju obrosła od wewnątrz i od zewnątrz grubą warstwą kurzu



Pójdą w ruch różne rodzaje szczotek...

i brudu. Szczelnie zamknięte, okitowane, oblepione papierami, uszczelnione watą lub gliną, pozostały przez całą zimę bez ruchu, przepuszczając coraz mniej światła. Kiedy się wreszcie otworzą i promienie słoneczne wnikną do dusznych wnętrz, ujrzymy wówczas, ile brudu, pajęczyny, kurzu zebrało się po kątach. Siłą rzeczy trzeba wówczas pomyśleć o generalnych porządkach i o tym, co należy w domu odnowić lub przerobić. Porządki zrobić trzeba, a wszelkie innowacje rozpatrzyć budżetowo i zastosować się całkowicie do tego, na co nas będzie stać. Na odnowienia należy wybrać porę najodpowiedniejszą, ażeby zbytnio nie zmieniać normalnego trybu życia domowników. Jeżeli poprzestajemy jedynie na wiosennych porządkach, które są w naszych warunkach koniecz-



Ściany kaflowe lub malowane olejno można zmyć gąbką.

ne, właśnie ze względu na te hermetycznie zamknięte zimą okna, to należy je wykonać tak szybko i w takiej porze, żeby jaknajmniej robić w domu zamęt.

Po zdjęciu portjer, firanek i obrazów, po wyniesieniu mebli, okurzymy starannie sufit i ściany. Zawarczą wówczas odkurzacze elektryczne, a tam, gdzie niema prądu, pójdą w ruch szczotki na długich kijach, owinięte starannie w zmieniane często, miękkie gałgany. Ściany — zależnie od tego, czy są malowane, czy tapetowane — odczyścimy dokładnie, uważając na brudne smugi, tworzące się dokoła obrazów, w bliskości pieców, lub radiatorów. Po wykonaniu tych robót okaże się, czy dany pokój jest czysty, czy też stan sufitu i ścian wymaga koniecznie odnowienia.

(dok. nast.) M. Dobrowolska.



Tam gdzie jest prąd elektryczny zawarczą odkurzacze...



## UPRAWA WARZYW KORZENIOWYCH

(c. d.)

Pierwszeństwo dajemy nawozom potasowym, które sprzyjają wytworzeniu się ładnego, kształtnego korzenia. Fosfor zaś pomaga do gromadzenia cukru.

Radziłabym następujące dawki nawozów pomocniczych w stosunku do 1 ara (100 m<sup>2</sup>):

1) Azotowe — 0.25 kg. azotu, co wyniesie 1.6 kg. saletry chilijskiej, lub sztucznej chorzowskiej (stosując azotniak, musimy go dać na 2 tygodnie przed siewem, dając 1.25 kg. na 1 ar i mieszając go dobrze z ziemią po rozsypaniu grabiami lub broną).

2) Fosforowe — 0.60 kg. kwasu fosforowego, co wynosi 4 kg. superfosfatu 17% lub Thomasyny.

3) Potasowe — 0.80 kg. tlenku potasu — co wynosi 3 kg. soli potasowej kałuskiej 27%, lub 2 kg. skoncentrowanej soli strasfurckiej 40%.

Nawozy fosforowy i potasowy dajemy przed siewem. Nawozy azotowe możemy dać pogłównie — dając pierwszą dawkę zaraz po wejściu marchwi, drugą — po powtórnym oczyszczeniu z chwastów i po motyczeniu.

Siać marchew powinniśmy wczesną wiosną, gdy tylko można przystąpić do uprawy roli. Pierwszeństwo dajemy odmianom wczesnym, które będą zbierane na konserwy, lub do spożycia z zielonym groszkiem, a więc odmiany „Paryską“ i „Duwicką“; potem siewmy marchwie do zbioru jesiennego, a więc „Nantejską“, „Karantańską“, „Londyńską“ i t. p.

Siać możemy ręcznie lub siewnikiem — wielorzędowym przy uprawie masowej, lub „planetem“ — przy mniejszej. Tak dla siewu ręcznego, jak i planetem, trzeba uprzednio wyznaczyć rzędkę. Najlepsza odległość, pozwalająca stosować późniejszą uprawę mechaniczną, jest 40 cm. Naturalnie, w ogródkach na grzędach, gdzie ziemię mamy dobrze doprawioną, siać możemy gęściej, dając odległość 30 cm., a przy marchwiach o drobnym liściu, jak „Karantańska“ — nawet 20 cm., gdyż tu uprawa będzie już tylko ręczna.

Co do ilości wysiewu — to przy siewie polowym wystarcza na ar (100 m<sup>2</sup>) 40—50 gr.; w ogrodowej na 1 m<sup>2</sup> wysiewamy 0.3—0.4 gr. nasienia obtartego, tak zwanego przez ogrodników „pietruszkowanego“. W handlu mamy przeważnie nasiona obtarte.

Przy siewie ręcznym do ziarna dodajemy piasku suchego dla równiejszego wysiewu, dając na 1 część ziarna 3 części piasku. Do siewu maszynowego piasku nie sypimy wcale.

Na glebach lekkich, łatwo wysychających, zalecam uprawę na płask; na ciężkich, bogatych w wilgoć — w redliny. Ponieważ nasiona marchwi leżą długo w ziemi, nim skielkują, zwłaszcza w suchą wiosnę, dobrze jest dodawać trochę roślin, które, prędzej wschodząc, oznaczają rzędy, co ułatwi nam pierwsze pielienie i motyczenie.

Można dodawać na 100 gr. marchwi: od 10—12 gr. szpinaku, 8—10 gr. gorczyca białej, 12—13 gr. maku.

Rośliny te później w czasie motyczenia usuwamy zupełnie (szpinak może iść na kuchnię), lub pozostawiamy je rzadko, zbierając, gdy dojrzeją, jako międzyplon (gorczyca, mak).

Pierwszą motyczkę (planet na większych prze-

strzeniach nastawiony, jako opielacz) powinniśmy dać, skoro tylko rośliny wejdą. Drugą motyczkę dajemy, gdy marchew mieć będzie już kilka listków. Wtedy należy też usunąć międzyplon, względnie pozostawić go bardzo rzadko.

Przerywanie marchwi robi się w ten sposób, by rośliny były w rzędach co 5—8 cm. Można pierwszy raz przerwać nieznacznie, a potem, gdy korzonki zdadne już będą do użycia, przerwać powtórnie do odpowiedniej odległości.

Późniejsza uprawa polega jedynie na utrzymaniu ziemi w czystości i wzruszaniu skorupy, jaka zwykle się tworzy po silniejszym deszczu, gdyż umiejętne utrzymanie wilgoci w glebie da nam rękojmię lepszych plonów.

Zbiór następuje odpowiednio do czasu siewu: a więc marchew, sianą w marcu lub początkach kwietnia (odmiany wczesne), możemy mieć gotową już w lipcu; odmiany późne, na zbiór jesienny, staramy się wyjmować z ziemi możliwie napóźniej, żeby korzeń zupełnie dojrzał. Poznać to można po żółknięciu dolnych liści i rozkładaniu się ich na boki.

Przeciętny zbiór z jednego ara (100 m<sup>2</sup>) u odmian wczesnych wynosi od 150—300 kg.; u odmian późnych — od 200—600 kg.

W małych ogródkach, przy silnem nawożeniu i dobrej uprawie, możemy mieć z 1 m<sup>2</sup> od 3 do 8 kg. marchwi. Przy zbiorze trzeba uważać, żeby jaknajmniej przerzucać korzeniami, zwłaszcza przy odmianach długich („Kwedlinburską“, „Altringham“) i średnio-długich („Nantejską“, „Karantańską“, „Londyńską“), gdyż korzenie marchwi są bardzo kruche, łatwo więc pękają, łamią się — co później wpływa na złe przechowanie, a przytem obniża samą jakość towaru. Nacinę usuwamy ręcznie, nigdy nożem, gdyż marchew nie znosi skaleczenia.

Po oczyszczeniu z naci przystępujemy do sortowania. Wszystkie popękane i nadłamane korzenie powinny iść jaknajprędzej do spożycia, względnie mogą być oddane na paszę dla bydła. Drobne i niekształtne usuwamy, jako towar gorszy. Do przechowania na zimno powinny iść korzenie równe, gładkie i zupełnie zdrowe. Ta część plonu stanowi największą i istotną wartość, jako materiał handlowy. W czasie lata odmiany wczesne sprzedajemy w pęczkach (ilość sztuk w pęczku zależy od wielkości marchewki, a także od wymagań rynku), po zbiorze jesiennym handel odbywa się już na wagę.

### PIETRUSZKA.

Uprawa pietruszki jest zupełnie podobna do uprawy marchwi. Na jesieni wskazana jest głęboka orka, na wiosnę — tylko broną i gryf.

W płodozmianie siać będziemy pietruszkę w drugim roku po nawozie, a więc po kartoflach, kapuście, kalafiorach, ogórkach, pomidorach i t. p.

Nawozy pomocnicze dajemy w tym samym stosunku, jak przy uprawie marchwi.

Siew trzeba wykonać możliwie jaknajwcześniej, gdyż nasiona pietruszki jeszcze dłużej leżą w ziemi, niż marchwi, i potrzebują więcej wilgoci. Odległość rzędów przy uprawie polowej — 40 cm., w ogródkach — 30 cm.

Sposób siania taki sam, jak marchwi.

Co się tyczy ilości wysiewu, to na 1 ar (100 m<sup>2</sup>) w uprawie polowej bierzemy od 45 do 50 gr., w ogrodowej na 1 m<sup>2</sup> zagonka liczymy od 0.4 do 0.5 gr. na-

sienia. Tu jeszcze więcej, niż przy marchwi, wskazane jest użycie międzyplonu — wcześniej kielkującego. Doskonale nadaje się do tego szpinak, gdyż wschodzi bardzo prędko i wyraźnie odznaczy rządki, które wcześniej będą mogły być zmotykowane.

Szpinaku bierzemy na 100 m<sup>2</sup> od 40 do 80 gr. W maju szpinak zostanie usunięty i pietruszka będzie mogła swobodnie się rozwijać.

Żeby otrzymać ładną, równą pietruszkę, w uprawie polowej, stosujemy przerywanie, pozostawiając rośliny w odległości 10 — 12 cm. W małej ogrodowej, amatorskiej uprawie przerywamy pietruszkę stopniowo do użytku tak, że do jesieni pozostaną korzenie w odpowiedniej odległości.

Letnia pielęgnacja polega tylko na spulchnianiu powierzchni ziemi i pielieniu w miarę potrzeby.

Ze wszystkich warzyw korzeniowych pietruszkę wrywamy ostatnią, gdyż warzywo to nie boi się mrozów. Niektóre odmiany pietruszki, jak np. „Hollenderska długa” (inaczej: „Bardowicka”), mogą pozostać w gruncie przez całą zimę i być wyjęte dopiero wiosną. Ponieważ pietruszka jest ulubionym przysmakiem myszy, wskazane jest, zwłaszcza w ogródkach, przykrycie pozostawionej w gruncie pietruszki igłami sosnowymi, lub gałązkami jałowca.

Przy wykopywaniu oczyszczamy pietruszkę, ręcznie obrywając listki i pozostawiając tylko kilka środkowych, gdyż mogą służyć zimą, jako przyprawa, jeżeli przechowujemy pietruszkę w piasku i w piwnicy.

Pietruszkę liściową uprawiamy tak samo, jak korzeniową, ale ponieważ tu chodzi głównie o ładnie rozwinięte, bogate liście, stosować będziemy obornik na jesieni, a na wiosnę silniejsze dawki nawozów azotowych. Pozostawiamy ją też rzadziej w rzędach.

U nas w kraju pietruszkę tego rodzaju spotykamy tylko w uprawach amatorskich, handlowego znaczenia nie ma wcale. (d. c. n.) Zofja Wróblewska.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### „FORSZMAK“ ŚLEDZIOWY

Trzy śledzie białe (szkockie lub norweskie) wymoczyć, obrać ze skóry i ości i usiekać drobno, lub też przepuścić przez maszynkę z pół kilo ugotowanych i obranych z łupin kartofli. Dwie duże cebule usiekać i przesmażyć ze sporą łyżką masła. Dodać trzy żółtka, pół szklanki kwaśnej śmietany i mięszać wszystko aż się stanie gładkie, jak ciasto. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z farszem. Półmisek metalowy wysmarować masłem, ułożyć farsz śledziowy pośrodku w ładną kopułę i wstawić w piec dla zrumienienia. Wkoło obłożyć przysmażonymi kartofelkami i podać gorący na stół do przekąski, lub zamiast pasztetu po zupie. Oddzielnie w sosjerce podaje się kwaśną śmietaną, lub czysty sos pomidorowy.

### KOTLETY ŚLEDZIOWE

Trzy śledzie twardego, białego gatunku, dobrze wymoczone, obrać ze skóry i ości. Osiemdziesiąt deka kartofli, ugotowanych i obranych z łupin i dużą cebulę, wpierw pokrajać i przesmażoną w łyżce masła, przepuścić wraz ze śledziami przez maszynkę. Dodać dziesięć do piętnastu deka mąki i dwa jaja całe, trochę pieprzu i wyrobić całą masę tak, aby zupełnie od ręki odstawała. Uformować z niej dziesięć zgrabnych, płaskich kotlecików, utarzać je w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w tartej bułeczce i natychmiast smażyć na szmalcu lub na dobrej oliwie. Podawać, okładając nimi groszek zielony, brukselkę, marchewkę, salsefję, szpinak, a nawet purée kartoflane. Można też je podać bez jarzyn, a tylko z sosem pomidorowym lub rumianym z korniszonami, kaparkami, grzybkami, czy cytryną.

### ŚLEDZIE ZAPIEKANE „PO NIEMIECKU“

Trzy śledzie wymoczone i obrane ze skórek i ości pokrajać na cienkie, długie paski. Trzy cebule pokrajać w tartarki i poddusić w dobrej łyżce masła. Osiemdziesiąt deka kartofli odgotować, obrać z łupinek, pokrajać w cieniułchne płatki. Formę ogniotrwałą lub nelsonkę wysmarować masłem, układać rzędami kartofle, śledzie i cebulę, aż wszystko wyjdzie. Ostatni rząd powinien być z kartofli. Dwa lub trzy jaja rozbić z trzema szklankami mleka, osolić do smaku, zalać tym potrawę, aby dobrze pokryło. Posypać tartą bułeczką. Po wierzchu położyć kawałeczki masła i wstawić w piec. Powinno się dobrze przepiec i zrumienić. Podawać do stołu w tem samym naczyniu. Chcąc, aby potrawa miała smak ostrzejszy, można każdy rząd lekko popieprzyć.

Pani Elżbieta.

### KURS HODOWLI POKOJOWEJ ROŚLIN.

Zwyczajem dorocznym Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza Kurs Hodowli Pokojowej Roślin.

Kurs obejmie 20 godzin wykładowych i dostarczy wskazówek o pielęgnowaniu, przesadzaniu, rozmnażaniu roślin w mieszkaniach w zakresie potrzeb miłośników. Poza tem będzie wykład o zdobieniu balkonów, o zwalczaniu chorób i szkodników, a dla osób zapisujących się na cały kurs — ćwiczenia praktyczne przesadzania roślin.

Kurs rozpocznie się dnia 12 marca r. b.

Informacji udzielają i zapisy przyjmują: p. Zielińska, Al. Jerozolimskie 45 m. 4, tel. 52-55, p. Wysocka, tel. 140-18; Skład Nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8; Warsz. Tow. Ogrodnicze — Bagatela 5, tel. 51-50 i w dniu rozpoczęcia wykładów na miejscu.

Najlepsze samopoczucie zapewniają

**opaski miesięczne dla pań „SIGI“**

Nie ścierają skóry. Nie wymagają prania, są giętkie, zupełnie nieprzemakalne i dają się łatwo zmieniać.

Do nabycia we wszystkich odnośnych sklepach. Generalne przedstawicielstwo: HUGO FRISCHLER w BIELSKU, ul. Krasińskiego 13.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr. Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

## O szczęście.

Czytając tyle artykułów na temat: „Szczęście w małżeństwie“, choć uważam, że kwestja ta zostanie zawsze nierozwiązanem zagadnieniem życiowem, to jednak mam ochotę dorzucić tu kilka moich smutnych, ale trzeźwych refleksyj.

Otóż, chowając córki, pragniemy stworzyć z nich doskonałych ludzi, żeby miały wykształcenie wszechstronne, t. j. by mogły dać sobie radę z domem, z dziećmi, żeby umiały zarobkowo pracować, pracować dla społeczeństwa i t. d., jednym słowem, czynimy wielkie wysiłki w tym kierunku (naturalnie, mam na myśli matki rozumne w całym tego słowa znaczeniu). Jednak w głębi duszy każdej matki tkwi najgorętsze pragnienie, aby córkę tak do życia przygotować, by jej na świecie „dobrze“ było, i tem samym zapobiec tak zatrważającej liczbie rozwodów, które łamią życie kobiecie i tak bardzo unieszczęśliwiają nie temu nie winne dzieci. I tu, mojem zdaniem, zaczyna się błędne koło.

Obserwując życie dość uważnie i krytycznie, dochodzę do przekonania, że podłoże charakteru mężczyzny jest bardzo jednotypowe; różnice pewne stwarza pochodzenie, wychowanie i stopień wykształcenia, ale geneza jest jedna.

Więc zadawałam sobie nieraz pytanie, jaką właściwie powinna być kobieta, by odpowiadała wymaganiom mężczyzny, bo zastanówmy się: nie może być mądra, bo go to drażni; nie subtelna i delikatna, bo mu to niepotrzebne; nie zbyt łagodna i cnotliwa, bo go to nudzi; nie energiczna i stanowcza, bo go to męczy; nie nabożna, z głębokimi zasadami, bo mu to niewygodne. Oto mniej więcej obrazek, jaką żona być nie powinna.

Teraz przyjrzyjmy się, czego mąż od żony wymaga. A więc przede wszystkim musi być sprytna, żeby umiała z nim postępować. Czyż nie słyszymy często skargi wraze jakiegoś większego nieporozumienia: „To żona winna, ona musi mnie dobrze znać i być o tyle sprytną, by umieć ze mną postępować“. (Czy który mąż zadaje sobie trud poznać charakter żony i jej psychologję, by umiejętnie z nią postępować? a sam nie rozumie, jak wiele przez to traci). Następnie kobieta musi być bezwzględnie w pojęciu mężczyzny ładna, to wielki atut, bodaj czy nie największy w ręku kobiety. Ileż to kobiet o przebogatych duszach, gorących sercach, z rękami, pełnymi cudownych darów, odchodzi samotnie ze świata, bo nie „podały“ się, były niepotrzebne...

I jeszcze są dwa punkty, które nie wiadomo, jak ze sobą uzgodnić, a mianowicie: mąż z radością konstatuje, że ma dzielną żonę, która cudownie daje sobie radę z obowiązkami, nawet nieraz i jemu ulży w pra-

cy, ale cóż! w głębi duszy on wolałby widzieć bezradne, naiwne dziecko, i taka żona byłaby mu stokroć droższa, niż równa mu umysłem i świadomością wartości swojej istota.

Co do ostatniego punktu, to ten dziwny sentiment dla bezradności kobiecej tkwi głównie w młodych chłopcach. Tu nasuwa mi się wspomnienie charakterystycznego faktu, który opowiadała mi moja mała, 17-to letnia przyjaciółka. Otóż siedziała ona pewnego razu ze swoją „sympatją“ na wsi w ogrodzie. Do ogrodu wpadł obcy, duży pies i rzucił się na 5-cio letniego siostrzeńca tej dziewczynki. Ta ostatnia, nie namyślając się, pobiegła, psa odciągnęła, a dziecku kazała uciec do domu i tem uchroniła je od nieszczęścia.

Gdy zdyszana, uszczęśliwiona wróciła do towarzysza, „sympatja“ z nachmurzoną miną odzywa się: „Wie pani co, panno Zochno, niech pani na drugi raz tego nie robi“. Na zapytanie, czy lepiej było pozwolić pogryźć dziecko, odpowiada: „No to, to nie, ale było z tem pani bardzo „nie do twarzy“. Czy to nie charakterystyczne? Dlatego scenka ta utrwaliła mi się w pamięci, że dziewczynka była niepomierne zdziwiona i trochę rozżalona na tę męską logikę.

Sumując te pewne dane, dochodzimy do przekonania, że nie wiemy, jaki typ kobiety stworzyć, aby jej i mężowi dobrze było razem, w znaczeniu, że każde żyć będzie pełnem swem życiem, nie rezygnując w zupełności ze swego „ja“ (troszkę, to zawsze trzeba) na korzyść drugiego. Gdy jedno z nich siebie zatraci, to choć, napozór, małżeństwo takie zgodne i harmonijne się wydaje, niemniej jednak jest wewnętrzna walką i męką, która naprawdę nikomu korzyści nie przynosi i tak wyczerpuje najlepsze siły, że się już na nic i do niczego chęci nie ma, a życie staje się wegetacją.

Na zakończenie muszę się wytłumaczyć, że nie jestem jednostronna, widzę i ze strony kobiet dużo win i braków; ale w dobie obecnej robią kobiety tyle wysiłków, tyle poświęcają pracy, by siebie udokonać, tyle dobrych chęci wykazują, że śmiało oczekiwać możemy wkrótce dobrych rezultatów. A co robi druga strona?

*Jedna z wielu — Warta.*

Jak zgodne są opinie kobiet w pewnych sprawach, stwierdza fakt, iż do „Mównicy“ nadszedł powyższy list jednocześnie z umieszczonym w Nr. 8 „Bluszczu“ artykułem „Pochwała kobiet“. Obie autorki, stwierdzają, że dotychczas wyłącznie kobiety zastanawiają się *jakie* powinny być, aby zreformować i udokonać życie rodzinne, mężczyźni milczą. „Jedna z wielu“ zapytuje: „co robi *druga* strona?“, p. Naglerowa wzywa czytelniczki, aby wciągnęły swoich mężów do dyskusji w „Mównicy“. Byłoby to ze wszechmiar pożądane. W tak ważnej i zasadniczej sprawie nie może i nie powinna przemawiać tylko kobieta. A więc... wypowiedzcie się, Panowie!

*Redakcja.*

## Z działalności łódzkiego oddziału Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Co tu dużo mówić (choć od tego „Mównica”) na temat, czy jedna godzina w tygodniu, podarowana społeczeństwu, przynosi korzyści ogółowi, czy nie; trzeba pójść, zobaczyć, jak się co robi i co z tego jest.

Tak się złożyło, że byłam obecna na rocznym walnym zebraniu Zw. Pr. Ob. Kobiet.

Bo trzeba wziąć pod uwagę te okruchy godzin, rzuconych na szalę pracy społecznej, przy stałym wysiłku pracy zawodowej, przy jednoczesnym obciążeniu obowiązkami domowymi, a wtedy staje człowiek pełen podziwu, z radosnym biciem serca, na widok tak pięknej budowy gmachu solidarności kobiecej, gdzie skonsolidowana jest wrażliwość na aktualne bolączki społeczne, przede wszystkim te, na które kobieta inteligentna kobiecie z proletariatu poradzić chce i może.

Widzę, że czynny udział kobiet w stowarzyszeniach czy związkach daje im samym ogromny dorobek, kształcający ducha, rozszerza horyzont patrzenia na sprawy ludzkie, stawia je w Mickiewiczowski punkt widzenia: „Miej serce i patrz w serce”.

Doprawdy, słuchałam sprawozdania z działalności poszczególnych sekcji i podziwiałam szybkość uchwał i wykonania, śmiałą decyzję i wiarę w możliwość zrealizowania, a nade wszystko rzeczowe prowadzenie dyskusji, bez nudnego walcowania.

Uderzyło mnie też jedno: kiedy nasze panie obradują, to zaczynają w oznaczonym terminie, mówią treściwie i kończą, boć trzeba być w domu, bo ktoś czeka z kolacją!... Gdy tymczasem panowie swoje sprawy społeczne obrabiają do północy i bardzo często... do rana.

To, co przez blisko półtora roku egzystencji Z. P. O. K. zostało rozpoczęte i jest prowadzone, napędza otuchą, że stanęliśmy na właściwym gruncie ducha czasu: „wyścigu pracy”.

Zw. Pr. Ob. Kob. posiada sześć referatów o szerokim zakresie działalności: Referat wytwórczości, referat uświadczenia obywatelskiego kobiet, referat opieki nad młodzieżą, referat oświatowy, referat opieki nad kobietą i referat finansowy.



Przedszkole.



W Sekcji Wytwórczości.

Z zadań powyższych referatów widać, że dostosowane są do wymagań życia, idąc po linii czysto realnych potrzeb.

Taki referat wytwórczości daje sztukę dekoracyjną: obrazki, wazon; w dziale damskiej konfekcji: apaszki, szale, kapelusze, naszyjniki; pozatem, szyje się tam bieliznę i suknie; jednym słowem, co kto umie robić najlepiej, to składa na warsztacie Związku i przysparza dochodu.

Jeśli weźmiemy inne referaty, to ze sprawozdania widać, że były urządzone odczyty, obchody okolicznościowe; czynne są świetlice dla młodzieży, porady prawne dla kobiet, oraz przedszkole, prowadzone przez siły fachowe.

Przewodniczy wybrana po raz drugi, dzielna pani Wanda Kosińska.

Z projektów na przyszłość, Zw. Ob. Pr. Kob. chciałby objąć szerszym ramieniem życie społeczne, tylko, że, narazie: po pierwsze, brak gotówki, po drugie brak gotówki i t. d., ale jak się tylko coś nowego zapoczątkuje, zaraz dam znać miłym paniom, aby zainteresowane wiedziały, że placówka żyje i trwa z wysoko wzniesionym sztandarem Pracy Obywatelskiej Kobiet.

*Łodzianka.*

### Ogniska są.

W jednym z ostatnich zeszytów „Bluszczu” wyczytałam wiadomość, że wśród kobiet powstaje zamiar założenia domu dla emerytek. Jest to obecnie palącą potrzebą, aby kobieta inteligentna, starsza, bez rodziny, nie mogąca pracować, a rozporządzająca niewielkim kapitałem, mogła znaleźć odpowiednio urządzone, wygodne pomieszczenie, utrzymanie i opiekę. Dowodzić tego nie potrzeba. Nieliczne schronienia takie, jak: nauczycielek w Zielonce, dom dla starców na Nowym Mieście, schronienie dla inteligentnych kobiet w Sulejówku, schronienie św. Franciszka na Solcu, są zawsze przepełnione. Wiem o tem, gdyż od kilku miesięcy naprożno szukam takiego kąta dla staruszki nauczycielki. Że taki dom łatwo byłoby wznieść przy życzliwym i wydatnym współudziale wszystkich kobiet, nie wątpię ani na chwilę. Powstają prawie z niczego różne zakłady dla dzieci, dla uczącej się młodzieży, dla chorych, dlaczego nie można zbudować wspólnymi siłami takiego domu dla kobiet, które, poświęciwszy całe życie pracy społecznej, nie mają na starość wygodnego kąta. Należy tylko zgromadzić zastępy chętnych pracowniczek, do których i ja się zaliczam.

*M. F. Nauczycielka prywatna. — Warszawa.*